

Szpieg



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Szpieg

OBRAZEK WSPÓŁCZESNY NARYSOWANY Z NATURY

Idąc w dół Bednarską ulicą ku Wiśle, minąwszy hotel Smoleński po prawej ręce w domu zajęтым przez różnych rzemieślników a od ulicy dającym schronienie zagadkowym płci obojgój mieszkańcom, jest na dole rodzaj szynkowni nazywającej się bilardem. Nad oknami lokalu wisi tablica z namalowanymi dwoma kijami, trzema kulami piramidalnie ułożonymi, i napisem:

Bilart pywo i różne tronki.

Na lewo od bramy w pierwszym pokoju posypanym piaskiem stoi w istocie bilard staruszek, który koleją z Krakowskiego przedmieścia, przez różne przechodząc ulice, dostał się aż na Bednarską. Ztąd, jeżeli go jaka katastrofa nie spotka, wywędruje już chyba do małego miasteczka na prowincję. Do głównej sali dość ciasnej, przypiera jeszcze drugi pokój ze czterema stoliczkami białymi, dla amatorów piwa, i ciemna komórka gdzie gospodyni, służąca i całe zapasy tego zakładu są złożone. Zwykle we dnie zupełnie tu bywa pusto, służący za markiera chłopak spoczywa wyciągnięty na dwóch krzeselkach, a dystrybutorka piwa drzemie w drugim pokoju. Ale w pewnych chwilach dnia, i w pewnych dniach tygodnia ożywia się ten lokal wielkim przyływem czeladzi rzemieślniczej i robotników z sąsiednich warsztatów. Pomimo to handel idzie bardzo lichy, a wdowa co go utrzymuje chciałaby sobie przepytać inny chleba kawałek. Większe bawarye stolicy pochłaniają wszystkich opiwoszów, muzyka pociąga do ogródków, a mała bawaryja musi się obywać tymi, którzy nie wiele mają czasu i nie dużo pieniędzy.

Ma ona jednak swoich wiernych zwolenników, bo nałóg nawet tak niepozorne miejsce znośnem i miłym uczynić może. Pani Szymonowa kobieta, która wiele nieszczęść przeszła w życiu i wydobyła się z nich smutną i wdychającą, tłustą i podstarzałą, przy pomocy służącej dosyć spiesznie i grzecznie obsługiwała swych gości, tę tylko jedną miała wadę że nieustannie wdychała, a oczy dowodziły że płakała po kątach. Przybywający zawsze wolą twarze wesołe, a lży czułości do reputacyi bilardu wcale nie pomagały, nie jeden zwątpił o dobroci piwa widząc smutne i zamyślane oblicze pani Szymonowej. Jakoś to się jednak trzymało i wieczorami bywało pełno, ale dużo kredytować musiano, a na takich należnościach więcej się traci, niż odzyskać może.

Jednego dnia majowego 1861 roku, gdy już dobrze zmierzchało, człowiek lat średnich, twarzy bladéj, czarnych i namiętych oczów, ręce włożywszy w kieszenie szedł nieprzytomny, osłupiały i zamyślony Bednarską ulicą w górę. Jak gdyby mu sił brakło stawał czasami, ręką ocierał chmurne czoło, szeptał coś sam do siebie, uśmiechał się i powoli włókl się znowu.

Było to uosobione odrętwienie które następuje po rozpaczy. Cały zdawał się być w sobie i w swéj boleści, ale już ani z nią walczył, ani szukał na nią ratunku. Doszedłszy do domu w którym był szynkcek pani Szymonowej dostrzegł światła w oknach i zapatrzył się w nie. Okiennece nie były jeszcze zamknięte a przez szyby, nie pierwszej czystości, widać było dwóch mężczyzn zajętych szlachetną grą bilardową. Po chwilkę namysłu przechodzień machnął ręką i skierował się ku drzwiom. W pierwszej izbie dwóch jakichś panów walczyło o lepsze na zielonem suknie, z zimną krwią wielkich i pewnych siebie artystów. W drugiej słycać było brzęk szklanicy bawara i cichą jakąś rozmowę. Na granicy, w proggu stała smętna Szymonowa ocierając oczy fartuchem. Bilard był oświecony z góry kienkiem równie starym jak on sam, zakatarzonym i dymiącym; dwa podobne mu, mniejsze spełniały swe posłannictwo kopząc ściany i łzami tłustymi oblewając podłogę po bokach.

W ciemniejszym kątku tej izby, przy małym stolczku nad arystokratyczną filiżanką kawy do której musiał dolewać rumu, gdyż flaszka jego obok była pod ręką; siedział jegomość lat dojrzałych w wytartym kapeluszu na głowie, z grubym kijem w rękach. Twarz jego kwitnąca piwonjowemi kolorami świadczyła że spirytusami się nie brzydził, była to zresztą jedną z tych twarzy najpospolitszych które wcale nie zastanawiają: jaki taki nos, pierwsza lepsza gęba, tuzinkowe oczy i całość nieznacząca, nie zwracały nań wejrzenia, można go było minąć niepostrzegłszy. — Półksiężycowe bakenbardy jakie dawniej grenadjerowie nosili, i wąsik wyszwarcowany do góry kazały się domyślać exwojskowego. Miał nawet w dziurce od guzika kawałek jakiejś pstrąg wstążeczki. Poważnie smoktając kawę i popalając z wysileniem cygaro które mu nie ciągnęło chociaż je uparcie do posłuszeństwa chciał zmusić — poglądał tu i owdzie jak gdyby szukając towarzystwa. Nikt się jednak do niego nie zbliżał, a służba bilardowa z niezmiernem służąc mu uszanowaniem, ukosem i z obawą na niego patrzyła. Była to widocznie postać narzucona, obca miejscu i z innych tu powodów niż zwykli goście, przybyła.

Gdy ów człowiek z ulicy wchodził do izby, na pierwsze drzwi skrzyknięcie oczy milczącego jegomości już go od stóp do głów zmierzyły i wybadały. Łatwo w nim zresztą było poznać kogoś co tak cierpiał, że nie wiedział prawie co czynił i co się z nim działo. Ubiór jego wskazywał niegdyś może dostatniego rzemieślnika, ale był zużyty i podarty; szlachetnych rysów twarz powlekała chorobliwa żółtość, włosy były w nieładzie i miejscami płatami posiwiałe. Wszedłszy, nieznajomy nie wiedział co z sobą zrobić, popatrzał, zakręcił się i padł na stolku przy drzwiach. Ledwie usiadł wybiegła zasmolona dziewczyna z drugiej izby i stanęła przed nim, było to nieme zapytanie, którego on z razu nie zrozumiał, a potem zawahawszy się, rzeki ochryplym i słabym głosem:

— Kieliszek wódki!

Gdy mu przyniesiono pochłoniął go jednym łykiem, odepchnął tackę z chlebem, rzucił dziesiątkę i głęboko się zamyślił. Od chwili wniknięcia oczy exwojskowego nie opuszczały go, śledził jego fizjonomię i ruchy, i żywo zdał się nim zajmować. Bilardowi gracze skończywszy partycję wkrótce wyszli, markier usunął się do drugiej izby, a owi dwaj zostali sam na sam. Naówczas mężczyzna w kapeluszu wstał od kawy, począł się przechadzać, poprawił w zwierciadle bakenbardy, odchrząknął i zbliżywszy się do człowieka przy drzwiach, rzekł z cicha:

— No cóż Panie Macieju, jak widzę zawsze bieda?

Tamten jak przebudzony nagle głowę podniósł, lecz zdawał się nie rozumieć pytania.

— Hm! bieda panie Macieju!

— Co? rzekł niewyraźnie zapytany. —

— Mówię, źle coś na świecie!

— Alboż kiedy było lepiej?

— Ha! ono by to mogło być lepiej, gdyby ludzie rozum mieli.

— Rozum? a na co się on zda kiedy doli niema?

— Przy rozumie i szczęście się znajdzie!

— Djabła tam! —

— A ja wam mówię, dodał kręcąc węża pierwszy, że nigdy rozpaczać nie trzeba, i doświadczonych ludzi słuchać...

— I jam ci to nie chłystek!

— Ale się wam od biedy w głowie pobałamuciło. Wiesz panie Macieju, że kiedy doktor zachoruje gdyby był najlepszy nigdy sam siebie nie leczy, trzeba ludzi słuchać, ja ci to powtarzam jeszcze raz.

— Próbowałem ci ja tych ludzi, ale mi żaden nie poradził. Słowo nie kosztuje, słów ci każdy nasypie, a co potem? językiem miele, ręką nie ruszy —!

Exwojskowy obejrzał się bacznie po izbie, wziął Macieja pod rękę, zaprowadził go do swego stolczka, nalał mu kieliszek rumu i zmusiwszy do wypicia posadził go przy sobie.

— Słuchaj no, rzekł, rzemiosło nie idzie, prawda? Albo to nie ma innego kawałka chleba? Ja bym ci gotów i naraić; ale to delikatna materja...

Maciej spojrział z ukosa ale zmilczał.

— Pierwsza rzecz, szepnął bardzo ostrożnie jegomość z wąsami, potrzeba mi dać słowo że co między nami się powie zostanie jak na spowiedzi.

— Już to mój panie poruczniku, rzekł Maciej, kiedy rzecz jaka musi być tajna to i licha warta. Jam przywykł szeroką chodzić drogą i o białym dniu, a manowcami i po nocy nie umiem.

— No, to sobie z głodu umieraj, kiedyś taki pyszny pan. Przecież miarkować możesz że ja cię do kradzieży ani do rozboju, ani do przemykania namawiać nie myślę...

— Więc czegoż takie tajemnice?

— Mój kochany, tobie to trudno zrozumieć, ale do ważnych, bardzo ważnych spraw czasem małe rzeczy są potrzebne i mała usługa a dobrze się płaci...

— Eh! słuchaj poruczniku! co tam bałamucisz, mów bo mi otwarcie, jak masz mi dać dobrą radę, to nie dróżże się z nią.

Porucznik zdawał się jeszcze namyślać potem zaczął mu szeptać do ucha:

— Możesz mieć i protekcją i pieniądze i co zechcesz: Rząd potrzebuje wiedzieć co tu za konszachty ludzie między czeladzią i robotnikami czynią względem tam jakiejś głupiej rewolucyj. Ja mam dobre zachowanie z Pauluccim i innymi, zarekomendowałbym ciębie. Pięć złotych na dzień jak znalazł, gratyfikacje jak się coś przyniesie, i na przyszłość może być jeszcze jaka promocja.

Maciej zbladł i zadrzał, zimny pot wystąpił mu na skronie.

— Bądź pan pewnym, rzekł głosem przerywanym, że co między nami się powie, świat o tém wiedzieć nie będzie. Zawsze to może uczynił z dobrego serca, ale mój panie poruczniku choć zniosłem dużo, choć się łamię pod ciężarem, jeszcze mi Bogu dzięki na myśl nie przyszło żyć cudzą krwią i nieszczęściem.

Uchwycił się oburącz za głowę i dodał z oburzeniem:

— Toć lepiej na pragski most i buchnąć do Wisły. Wszystko się skończy; ale człek z czystym sumieniem pójdzie na sąd Boży.

Porucznik niezmięszany wcale, zaczął się śmiać.

— Jakie z ciebie dziecko! rzekł, widziałeś ty kiedy, żeby człowiek bez cudzej krzywdy miał kawałek chleba? Myślisz że na tych karetach co to się w ulicy świecą nie ma i krwi i potu cudzego? Trawa je ziemię, wół je trawę, człowiek je wołu, taki to już porządek; zresztą niech sobie rząd bierze na swoje sumienie co tam chce, ja donoszę co widzę i co mi tam do tego! Ten winien kto na złe użyje, a nie ja! —

— Dajcie pokój poruczniku! na ten chleb ja nie pójdę, ani bym go jadł, ani bym strawił, bo by mnie jęki nieszczęśliwych zadławiły.

— Czekaścieno jeszcze Panie Macieju, odparł porucznik, Wać Pan jesteś uczciwy człowiek, jemu to mogę szczerze powiedzieć, nie od dziś to moje rzemiosło, namawiałem ja sobie dużo towarzyszy ale zawsze z początku tak bywało jak z waćpanem, dopiero jak głód dokuczy, rozum przychodzi. Wzdraga się człek, wzdraga, potem rozmyśli i przyjmuje. Mnie waćpana żal, daję ci tydzień do namysłu... a potem, zobaczemy. —

Popił trochę kawy, popalił cygaro i dodał:

— Nie potrzebuję przestrzegać, że jakbyście się wygadali, to w więzieniu zgnijecie. To już nie moja rzecz, ale sprawa rządowa.

Maciej westchnął głęboko i lży mu się z oczów potoczyły.

— Miły Boże! zawołał po cichu, na co człek zszedł! i Bóg widzi nie własną winą! Ale nie, nie, do tego nigdy nie dojdę! raz się umiera!

— Mówię ci nie zarzekajcie się, z uśmiechem szepnął porucznik, nie trzeba płuć na wodę... żeby się jój potem nie przyszło napić. —

Chciał jeszcze nalać kieliszek rumu Maciejowi, ale ten podziękował, i wstał, kroplisty pot ocierając z czoła.

— Jak się namyślicie, to mnie tu prawie każdego wieczora znaleźć możecie, rzekł wąsaty. —

Na tém skończyła się rozmowa. Maciej wysunął się z izby i powlokł ulicą.

Zaledwie uszedł kilka kroków, gdy go ktoś trącił w ramię i rzeki z cicha, nieznanym mu głosem. —

— Chodźcie za mną!

— Dokąd? po co?

— A no! to się zaraz dowiecie, ale chodźcie bo sprawa ważna i o waszą skórę idzie. —

— Dalibyście mi pokój, ja was nie znam.

— Ale ja znam ciebie, rzekł nieznajomy, chwytając go za rękę. — Jesteś Maciej Kuzma, majster stolarski, niedawno się wyzwolił, ręką ci nie idzie. Masz żonę chorą, troje małych dzieci, kilka set złotych długu, na drzewo ani grosza, ani czeladzi czém opłacić; chodzisz jak struty, złe ci myśli po głowie wędrują, a źli ludzie kusiecie gotowi z tego korzystać.

Maciej słysząc to wszystko, prawie osłupiał ale mu na myśl przyszło, że to może dalszy ciąg rozmowy z porucznikiem, że to próba tylko. Już mu też sama ta myśl szpiegostwa piersi paliła.

— Słuchaj, rzekł popychając zatrzymującego człowieka: idź ty odemnie precz szatanie jakiś, a nie, to ci głowę rozwałę.

Nieznajomy zaczął się śmiać. —

— Cóż to, ty mnie bierzesz za jakiego towarzysza porucznika? czy co? Domyślam się co on tobie rał, ale ci przysięgam na ten potrzaskany krzyż, co go Moskale znieważyli, że to całkiem inna sprawa! Możesz ze mną iść bezpiecznie, sumienia ci nie zamącam. Właśnie żem widział i domyślam się co odpowiedziałeś porucznikowi, dla tego cię z sobą chcę prowadzić.

— Przysięgnij jeszcze raz!

— Na co chcesz?

— Przysięgnij na zbawienie, że mnie nie zwodzisz!

Nieznajomy, słuszny mężczyzna w bardzo porządnym ubraniu, którego twarzy ciemność dostrzedz niedozwalała, rozpiął się, dobył medalik zawieszony na szyi i powtórzył uroczyście przysięgę. —

— No, to chodźmy rzekł Maciej. —

W milczeniu przeszli kawałek Krakowskiego Przedmieścia, a nieznajomy wiodąc przodem wszedł do jednej z kamienic naprzeciw Dobroczynności... Po ciemnych wschodkach dostali się na trzecie piętro. Tu przewodnik trzy razy po trzy zapukał do małych drzwiczek, które się nierychło otwały. Przedpokój był zupełnie ciemny, przybyły poszeptał coś z otwierającym, stali chwilę w mroku a nareszcie weszli z Maciejem do oświetlonego pokoju. —

Była to izdebka mała o jednym oknie i dość pusta. W środku prosty stół, kilka wyplatanych krzeseł, w kacie łóżko z materacem ale bez pościeli: Jedna świeca nie bardzo rozjaśniała ciemne to i smutne schronienie. Teraz dopiero Maciej się mógł przypatrzeć i temu co go tu przyprowadził i drugiemu którego w mieszkaniu zastali. Obaj byli ludzie młodzi, przewodnik słuszny barczysty, szlachetnych rysów mężczyzna, drugi blondyn, delikatny, wąty, blade, ale rysów pełnych energii. — Duszy jego zdawało się być ciasno w tej powłoce, tryskała oczyma, wyrывała się ustami, świeciła aureolą na czole.

— Panie Macieju, rzekł pierwszy, jesteś między uczciwymi ludźmi, między swoimi, mów co ci tamten szatan kładł w ucho kusząc cię?

Maciej zatrzymał się chwilę, pomyślał. —

— Czy Panu Bogu czy djabłu, rzekł, jak się da słowo że się będzie milczało trzeba dotrzymać? nieprawdaż?

— Nie ma co mówić, rzekł blondyn, macie słuszność; ale kiedy tak, to my wam powiemy o co tam chodziło. — Gotów jestem odgadnąć nietylko co się mówiło, ale jak się tam gadało.

Maciej osłupiał.

— Jeżeli panowie tak rozumni jesteście odparł kwaśno, to należycie pewnie do jednego bractwa z porucznikiem. Otoż wam powiem jak jemu, że ze mną nic nie wskóracie. To darmo, jestem biedny człowiek i biedniejszy może od wielu, ale cudzemi łzami i krwią żyć nie chcę! Bywajcie acaństwo zdrowi. Obrócił się ku drzwiom gdy uczył że ów blondyn pochwylił go w ramiona, ścisnąć począł i całować.

— Siadaj panie Macieju, rzekł, tamto jest szelma szpieg, którego prędzej później stryczek nie minie, a myśmy dobrzy Polacy i pracujemy nie dla rządu moskiewskiego, ale dla naszej kochanej ojczyzny. Nie będziemy ci kłamali ani to ani owo, znamy cię przez twoją czeladź i innych towarzyszków, bo i my mamy swoją policją, musimy się pilnować, widziano że cię kilka razy ów porucznik zaczął, łatwo się było domyślić czego chciał. — Otoż kraj od ciebie wielkiej usługi wymaga.

— Jesteście katolicy? spytał Maciej, możecie mi się jeszcze raz przysiąc że to czego odemnie chcecie dla naszej miłej ojczyzny jest potrzebnym?

— Możemy i przysięgam, rzekł blondyn, spojrzijże na nas czy my wyglądamy na szpiegów i zdrajców?

— O noc to nie, rzekł Maciej, ale ta Moskiewszczyzna to się ona przybiera na różne figle, a szpiegi tak udają dobrych Polaków, że lichy ich tam pozna!

Blondyn miał łzy w oczach, dobył krzyża schowanego w szufladzie i ukazał go Maciejowi.

— Patrz! zawołał, ten krzyż obwiedziony cierniem, zrobiony był z chleba więziennego, polany łzami męczennika, wyszedł on z cytadeli, święty jest sobą i uświęcony boleścią; na ten ci krzyż przysięgamy, że nie ma w nas fałszu...

Maciej już się prawie zawstydział swego niedowiarstwa.

— Mówcie, każcie, a co człek podola to się zrobi, ale Bóg widzi, jeżeli możecie to mnie przez dobrych ludzi poratujcie, żebym naprzód głowę odzyskał, bo mnie bieda oszołomiła że sam z sobą rady dać nie umiem i na nic się wam nie przydam, póki mnie to moje nieszczęście jeść będzie, głupim od bólu.

— Na wszystko się poradzi panie Macieju, ale trzeba i z tym ostrożnie, bo jak cię szpiegi w lepszej skórce zobaczą, wszystko przepadnie. A my od ciebie także trudnych rzeczy wymagać będziemy.

— Bądź spokojny, dodał drugi, jutro pójdziesz do Dobroczynności po pożyczkę.

— Chodziłem na próżno kilka razy, któż za mnie zechce zaręczyć?

— Znajdzie się tam dwóch obywateli jutro co porękę za ciebie złożą, ale choć ci lżej będzie, stękać tak i zawsze, bo nam tak potrzeba.

— Za trzy dni, dodał blondyn, pójdziesz na Bednarską ulicę, znajdziesz tam porucznika, trzeba się jeszcze nawzdragać, ale w końcu musisz przyjąć co on ci ofiaruje...

Maciej rzucił się z krzesła.

— To nie może być!

— Przecież im nic nie będziesz donosił, ale nam przez ciebie potrzeba wiedzieć co się u nich dzieje!

— A! moi panowie drodzy za skarby świata, odparł Maciej składając ręce, ja się tego nie podejmuję, ja tego nie potrafię...

— Jak to, dla tej miłej ojczyzny! dla naszej świętej wiary!!

— Moi panowie, odparł rzemieślnik, jestem stolarz, gdybyście mi kazali buty robić to nie moja rzecz; tak i to, jestem prosty człowiek a to bardzo kręta sprawa, nie mając to głowę podolać. —

Mimo że, jak się bardzo słusznie wyrażał pan Maciej, była to kręta sprawa, młodzi ludzie zapewnili go, że za ich radą i skazówką uczciwie jęj podola, choć z wielkim więc wahaniem, podjął się Kuźma przykrego dlań obowiązku. —

Dobłą godzinę spędzili na tych układach.

— Już to wy tam lepiej wiecie i na co to potrzebne i jak ma być, rzekł w końcu Maciej, ale mnie się ono zda, że takiemu wydze jak porucznik, ja chyba rady nie dam... to darmo.

— My wam pomożemy! rzekł blondyn.

— A gdzież ja was będę szukał?

— Około szóstej wieczorem gdybyście chcieli zająć się pomodlić u figury Matki Boskiej, naprzeciw Dobroczynności, zawsze tam ktoś z nas być może.

Na tym skończyła się rozmowa i pan Maciej ze swobodniejszą nieco myślą powlókł się do domu, ale na sercu było mu jeszcze ciężko. —

Dobrze w noc, gdy już u pani Szymonowej nikogo na bilardzie nie było, porucznik, który przez ostatnią godzinę pobytu swego w tym miejscu spał, czy też udawał śpiącego, przeciągnawszy się i zapomniawszy zapłacić gospodyni (co było jego zwyczajem) wyszedł ostatni z bawaryi. Nie daleko mu było do domu, mieszkał bowiem na Dziekance w tylnej części obszernego domostwa zajętego w większej części przez bardzo ubogie rodziny.

— Dostukawszy się do bramy, przewlókłszy przez dziedziniec miał jeszcze dwa piętra wschodów do przejścia omackiem. We drzwiach, w które uderzył gwałtownie, było u góry małe okienko nieprzezroczyste, przez które słabe dobywało się światło. Otworzono mu wkrótce, a porucznik poświstując jakby dla dodania sobie odwagi, w kapeluszu na bakier, z cygarem w ustach wszedł do środka. — Drzwi mu otwierała brudna zaspiana służąca; w mieszkaniu było głucho, po środku wielkiej izby paliła się tylko świeca łożowa od dawna nie objaśniana. — Przy jej mdłym blasku widać było to nędzne mieszkanie, które zarazem mieściło w sobie i całe gospodarstwo rodziny. Ode drzwi były naczynia kuchenne, piec w którym gotowano, nawet potrosze spiżarnianych zapasów w dosyć wielkim nieładzie i opuszczeniu. Dalej w różnych kierunkach, kilka stołów, zarzuconych bielizną i odzieżą. Ku oknu stało parę łóżek niedobrze zasłoniętych parawanami papierowymi dosyć obszarpanymi. Jakaś przykra woń ubóstwa i bezładu wiała od tego schronienia. Nic dla oka i ozdoby, nic dla uczucia i serca, ubóstwo dotkliwe które o niczem nie myśli nad dzień powszedni, rozpoczęte pranie, porozwieszane lachmany, resztki nędznego jadła, nic więcej widać nie było. Nad wielkim stołem, na którym paliła się świeca, drzemała oparta na rękach kobieta średnich lat, wychudła, w ubraniu zaniedbanem, z roztarganymi siwującymi włosami. Rysy jej twarzy dowodziły że niegdyś była bardzo piękną, nędza nawet, wiek i zaniedbanie nie potrafiły zatrzeć śladów tego daru Bożego, ale czarne prześliczne niegdyś oczy, wpadły głęboko i od łez zagasty, usta kryły się w fałdach, które wyłobila boleść, a nawyknięcie do ciągłej walki i pasowania się z nieszczęściem napiętnowały to oblicze dzikim wyrazem jakby stężałego gniewu. Była zaprawdę straszną jak ręką wielkiego artysty wyrzeźbiona głowa Meduzy. Spojrzawszy na nią, można się już było domyślić, dla czego porucznik wchodząc nadał sobie minę odważną. Wszystko tu znamienowało tę wojnę domową, której ślady znać było w nieładzie całego mieszkania.

Usłyszawszy chód kobieta przebudziła się i zerwała, spojrzała na stary zegar wiszący u ściany i ręką wskazała go mężowi. Było w pół do dwunastej.

— Tośmi się dziś poprawił, rzekła, taka to prawda że wcześniej miałeś wrócić?

Porucznik naczczo był łagodny ale napiwszy się rumu nader walecznym się stawał, odparł grubijańsko:

— Milcz! stara sekutnico, robię co mi się podoba, a tobie w to nosa nie wścibiać!

Kobieta kiwnęła głową wcale się nie uląkłszy groźnej postawy.

— Już się to bydlę spiło, rzekła, i huczy, i będzie mi tu przyszedłszy hałasy jeszcze wyrabia! Milczże mi zaraz i idź spać pijaku, a nie to cię tu nauczę!

Porucznik świstał ale coraz ciszej; zdjął kapelusz i postawił na stole, cygareto zgasłe próbował zapalić u świecy, ale jakoś na płomień nie mógł trafić, co jeszcze mocniej dowiodło że jęmość w swych przypuszczeniach się nie myliła. W istocie był tego pijany, pomimo to chciał rozmowę z drażliwej materyi sprowadzić i zapytał ochryplym głosem:

— Julek jest?

— Co tobie do Julka? trutniu ty jakiś, odpowiedziała żona. Jakie ty masz prawo pytać o dziecko o które nie dbasz?

— Eh! babo ze mną jak sobie chcesz ale od Julka mi wara, jestem ojcem i powinienem go pilnować — krzyknął groźnie przybyły.

— I dobrze go pilnujesz! odpowiedziała kobieta — myślisz chyba że gdzie w szynku siedzi, że szukając go cały dzień bawarye wycierasz?

Porucznik zmilczał chwilę i powtórzył pytanie:

— Jest Julek?

Żona zamiast mu odpowiedzieć plunęła i poczęła długie niegdyś swe włosy związywać jakby się do snu przybierała.

— Kachno, odezwała się po chwili, poświęć jegomości do jego stancy!

Porucznik trzeci raz zapytał:

— Jest Julek?

Nagle kobieta która zdawała się być obojętną, zwróciła się ku niemu z rozognioną twarzą.

— Nie ma go, zawołała, dałeś mu dobry przykład włóczenia się po nocach, próżniactwa i rozpusty, będziesz go miał, takim może jak ty opojem i wisielcem! Patrząc na ojca pójdziesz pewnie w jego ślady. Nie dość ci było zgubić siebie, mnie, trzeba ci było zmarnować i to dziecko! Na sumieniu twojem ciężko, oj ciężko będzie w dniu sądu! poniesiesz na

dno piekiel i swoją duszę i naszą! To mówiąc ryknęła płaczem. A porucznik popatrzawszy na nią jakby wytrzeźwiał, spokorniał, i zamilkł.

— Cicho! cicho! rzekł, co ja tam temu winien, a bo to ja mu codziennie nauk nie daję?

— Oj twoje nauki! Lepiejby stokroć było dziecku ich nie słyszeć i ciebie do trumny położyć? Co znaczą twoje słowa przy twoich uczynkach? Dostyć by ci spojrzeć na twarz to z niej życie wyczyta! A potem chcesz mieć pociechę z niego! Łaska Boża jeszcze nad nami że choćbyś innego już zepsuł, jego może nie potrafiysz.

Porucznik głęboko się zadumał, westchnął jakoś dziwnie, stuknął pięścią o stół i krzyknął ochryplym głosem podnosząc kija:

— Milczeć babo, a nie, to ci łeb rozplątam!

— Nie będę milczeć, odparła tupiąc nogą kobieta, rozbij mi głowę, ja śmierci dawno u Pana Boga się dopraszam; skończysz przynajmniej jakieś wart, na szubienicy!

Porucznikowi twarz cała krwią nabiegła, oczy się rozplómiły i byłaby może scena ta krwawo się skończyła, gdyby nie zastukano do drzwi.

Oboje rodzice po nieśmiałym stuknięciu domyślili się powracającego dziecka. I w tej chwili stał się cud jakiegoby nikt przewidywać nie mógł. Dwie te groźne twarze jakby czarodziejskiej laski dotknięciem zmieniły się w łagodne oblicza, znikł z nich gniew, a siła miłości rodzicielskiej przeistoczyła je zupełnie. Nie chcieli przed ukochanym stanąć w całej ohydzie tej szkaradnej walki. Twarz kobiety stała się spokojną, smutną ale dziwnym wyrazem miłości uśmiechniętą; nie można się było nawet domyślić że przed chwilą pałała oburzeniem i gniewem. Ojciec przybrał postawę poważną i prawie stał się podobny do porządnego człowieka, resztką jakiegoś wstydu mglisto osłaniała mu oczy. Dali sobie wzajemnie znak porozumienia i gdy Julek wszedł po cichu, śladu już kłótni nie zastał. Oczy obojga rodziców tęsknie zwrócone były ku niemu, ojciec drżał na samą myśl że w nim swojego nałogu pierwsze zarody spostrzedz może.

Przybyły był chłopakiem lat około dwudziestu i żywym młodości swęj matki wizerunkiem, były to zupełnie te same rysy, szlachetne, delikatne ale jeszcze niestartym puszkciem wiosennym pokryte. Wśród tego flamandzkiego obrazu, brudnego ubóstwa, Julek odbijał jakby do niego nie należał, jakby z niego nie wyrósł; ubranie młodego chłopaka było skromne ale czyste i porządne; na twarzyczce igrał wesoły uśmiech młodzieńczy którym zdawał się chcieć przebłagać rodziców, pewien że się za jego spóźnienie gniewać będą.

— Cóż ty tak późno powracasz? rzekła matka łagodnie. Patrz, wszak to już wkrótce dwunasta.

— Powtarzaliśmy lekcje z kolegami rzekł trochę zmieszany Julek — i tak się jakoś spóźniło.

Ojciec nic nie rzekł, ale wejrzenie jego tak badało syna jakby się do wnętrza jego duszy chciało dostać.

— Ale to teraz taki czas, rzekł po chwili, że się długo zasiadywać za domem nie trzeba, a przytem i zważać z kim się wdać, bo jeszcze gdzie za cudze grzechy biedy napytasz...

Julek chwilę zmilczał i dodał z wyrazem szczerości:

— Proszę ojca, jaki jest czas to jest, a uczyć się potrzeba; nasza nauka i mozolna i wielka, przedmiotów mnóstwo, wiele rzeczy na pamięć się uczyć musimy...

Matka położyła mu rękę na ramieniu i spytała:

— Toś ty pewnie nic nie jadł?

— Eh! kochana matuniu jużem się tego z medycyny nauczył, że człowiekowi do życia wiele pokarmu nie trzeba, aby kromka chleba i trochę wody, nie jestem głodny.

— Ja ci tam kazałam schować kawałek mięsa i trochę kartofli — toby ci przygrzeli.

Na wzmiankę o jadł porucznik który dużo pił ale nie miał sposobności zjeść, znaczącą zrobił minę, lecz spotkawszy groźny wzrok żony językiem tylko powiódł po ustach i zmilczał; nie śmiał się upomnieć.

Przytomność Julka jakby zesłańca pokoju uciszyła burzę i dała wieczór zakończyć cicho. Porucznik bardzo nawet grzecznie oddał dobranoc żonie która go pożegnała równie łagodnie. Z nim razem odszedł i Julek do dwóch izdebek wyżej jeszcze na strychu położonych. Gdy za nimi Kachna drzwi zamknęła, kobieta pobiegła szybko ku łóżku, odsłoniła parawan i pochyliła się nad pościelą na której widać było uspioną twarzyczkę piętnastoletniego dziewczęcia. Uspokoila się przekonawszy że dziecię spało mimo hałasu

i chodzenia. W istocie córka którą nie chciała mieć świadkiem przykrego zajścia z mężem, odpoczywała tym głębokim snem młodości którego czasem i wystrzały działowe nie przerywają.

Piękna główka złotowłosa leżała na rozwitych puklach, zarumieniona snem, z pół otwartymi usty i przymkniętymi oczyma uśmiechając się jakimś marzeniem.

Matka cichutko pocałowała ją w czoło, odeszła do stolika, siadła i z oczów jęj strumieniem puściły się łzy. Milcząca płakała tak długo, długo, aż gdy się świeca dopalać zaczęła sługa schwyła ją za rękę prosząc aby szła spać.

Nie zrzucając sukni porucznikowa padła ze łzami swemi na łożę.

Trzeba oddać tę sprawiedliwość rządowi moskiewskiemu że przy najgorliwszych chęciach szpiegowania, nigdzie ta gałąź administracji gorzej jak w Rosyji i Polsce urządzoną nie była. Rząd zmuszony posługiwać się wyrzutkami społeczeństwa, których ani wybrać ani zorganizować nie umiał, dowiadywał się zawsze ostatni o tem co już wszystkim ulicznikom wiadomem było. Policya jego bywała dokuczliwą ale najnieskuteczniejszą w świecie; donosiła o rzeczach błahych, nigdy inaczej jak przypadkiem ważniejszych dojsć nie mogąc.

Tam gdzie ajent policyjny jak w Anglii czuje się kółkiem uczciwie pracującym w maschinie społecznej, gdzie się swojego rzemiosła wstydzic nie potrzebuje, czując że i na nim polega bezpieczeństwo publiczne, tam znajdują się ludzie uczciwi i zdadni do nadzoru nad mętami i szumowinami społecznymi. W Rosyji, gdzie policya jest najpodlejszym narzędziem ucisku, żaden człowiek co ma najmniejsze poczucie swojej godności należeć do niej nie może. Wymiała się więc z rynsztoków śmiecie i niemi posługiwać musi. Policya głównie jest skierowaną przeciw politycznym przestępcom, nie mogąc ich dośledzić tworzy winowajców, a w ogóle niedołężność jęj równa się ślepotcie. Nie ma też bardziej upadlającego nazwiska, któreby tak nieodwołalne niosło z sobą potępienie jak miano szpiega. Ani złodziej, ani fałszerz, ani rozbójnik nie jest tak jak on wzgardzonym. Dla szpiegów nie ma litości i przebaczenia. Kosztując bardzo wiele, sekretna policya moskiewska dała tysiączne dowody jak jest bezużyteczną. Napróżno chcąc mieć lepszą w Warszawie Wielopolscy przez przyjaciela swego sekretarza konsulatu angielskiego pana W... sprowadzali ajentów z Anglii chcąc tamtejszą organizacją naśladować. Na nic się nie zdały wzory, bo narzędzi do niej u nas znaleźć nie mogli. Rząd wzgardzony na wagę złota nie potrafi dostać ludzi którzyby mu do bezprawiów posilkowali. Policyant angielski wie że śledząc zbrodnia-rza lub niespokojnego chartistę, prowadzi go przed sąd, który winę jego oceni, wyważy i karę oznaczy do niej stósowną. Szpieg moskiewski prowadzi ofiarę pod nóż, oddaje człowieka w ręce oprawcy, jest sam nie posługaczem sądu ale pachółkiem kata. Można więc miarkować z tego jacy ludzie wchodzą do składu policyi. Najmniejsza denuncyacya, nie oparta na niczem, często będąca skutkiem złości lub zemsty, wystarcza na potępienie człowieka. Nie jedna kłótnia z tajnym ajentem kosztowała niewinnemu życie, nie jeden kaprys pijanego odebrał rodzinie ojca. Tam gdzie nie ma jawności sądu, ani statecznej formy prawa, gdzie w rękach najniecierniejszych ludzi są losy wszystkich, łatwo pojąć jakie być musi bezpieczeństwo osób i własności. W ostatnich czasach wielkie postępy które uczynił charakter narodowy w ogóle odbiły się i w tej nawet klassie.

Szpiegostwo które za Wgo. Księcia Konstantego (pierwszego) liczyło w swem gronie i dosyć pokaźnych ajentów, zeszło było na ostateczną szuję. Starano się, gdy wypadki uczyniły je konieczną potrzebą, wzmocnić nowymi żywiołami; ale gdy przyszło ich szukać pokazał się brak zupełny.

Gdy we trzy dni po wzmiankowanym wieczorze przyszedł Maciej do bawary na Bednarskiej ulicy chociaż już był o swój los spokojniejszym, tak wyglądał ze strachu, wrażenia i przymusu do kłamstwa, iż porucznik wziąć go mógł za zropaczonego człowieka. Nogi się pod nim trząsły, a głosu mu w ustach brakło. Gdy spostrzegł exwojskowego musiał usiąść przy drzwiach bo kroku dalej zrobić nie mógł. Tego dnia dosyć ludzi było w bawary; porucznik po chwili zbliżył się do Kuźmy i rzekł po cichu:

— A co? idzie? rozmówimy się z sobą?

— Cóż począć, już muszę!

Na tém się zrazu skończyło. Porucznik dopił kawę i mrugnawszy na Macieja wyszedł z bawaryi.

— A widzisz, rzekł w ulicy, mówiłem ci, nie pluj na wodę żebyś się jój nie napił.

— Dajcie już pokój i nie urągajcie się, odparł Kuźma wzdychając. Mówcie co chcecie odemnie?

— Co ja ci mam gadać? szepnął porucznik, chodź za mną to się dowiesz.

W milczeniu poczęli iść, porucznik przodem Kuźma za nim z Krakowskiego przez Miodową na Długą i tu niedochodząc Bielańskiej weszli do bramy jednego domu, przed którym przechadzał się jakiś niepozorny jegomość.

Porucznik przemówił do niego słów parę i wszedł ze swym towarzyszem w bramę, w dziedziniec, potem na wschody ciemne, na ostatek do jakiegoś mieszkania od tyłu. W zadusznym i smrodliwym przedpokoju na ławkach i po kątach kryło się kilka osób jakby wstydzając własnych twarzy. Każdy tu wchodził zakrywając się o ile możności i usiłując pozostać w cieniu. Towarzystwo było jak najdziwniej dobrane: jakaś kobieta wystrojona w atlasowej salopie, której z za zasłony tylko bardzo wyróżzoną twarz widać było, jakiś mężczyzna w wytartym fraku chudy i skurczony, jakiś wielki drab odarty ale z twarzą zuchwałą i czołem bezwstydném; jakiś staruszek kaszlący ale uśmiechnięty i słodziuchny, nakoniec elegancik falszowany, którego lakierki nie bronily się domyślać że mu może pończoch brakło.

Kuźnia wchodząc za porucznikiem poczuł dreszcze po skórze i zamieniłby był chwilowe położenie swoje na największą nędzę. Otarcie się o tych ludzi nabawiało go obrzydzeniem. Jakiś sługa wchodził i wychodził z salonu do przedpokoju, z przedpokoju do salonu. Spozierał on z góry na oczekujących i po jednym wypychał ich w paszczę potworu. Odbywało się to dosyć prędko i kolój na porucznika przysła niebawnie. Kuźma pozostał jeszcze póki go nie zawołano. Naostatek otwarły się drzwi i porucznik na niego kiwnął; potknął się nieborak w progu a gdy oblaną wstydem twarz podniósł, ujrzał przed sobą wcale ładny pokój niezgorzej umeblowany z sofami i krzesłami do koła, z kilka zwierciadłami na ścianach. Na stole między oknami wśród książek i papierów stała lampa i dwie świece, na małej kanapie siedział mężczyzna lat czterdziestu kilku, pięknie łysy, nader przyjemnej i łagodnej twarzy.

Wyglądał raczej na smakosza i dobrego koleżkę niż na jakiegoś tam naczelnika tajnej policji. Niebieskie jego oczy miały wyraz łagodny, usta rumiane i duże, uśmiechały się dobrodusznie i serdecznie, mimo pozornéj szczeroty rozlanej w całej fizjonomij, Lawater byłby w niej odkrył dobrze zamaskowaną chytróść bizancką, w rodzaju téj jaką się odznaczała twarz Alexandra I., owego moskiewskiego anioła... z pazurkami pochowanemi w glansowane rękawiczki.

Z pierwszego wejrzenia wziąłbyś go za niewinnego epikurejczyka, w rozmowie dopiero gdy się te rysy nerwową grą ożywiły, wybitnie tryskała z nich przebiegłość a niekiedy zimne okrucieństwo. W ruchach téj postaci było coś kociego. Kuźma prosty człek, który się spodziewał ujrzeć potworę, zdziwił się mocno zobaczywszy tak uśmiechniętą i miłą istotę.

Gdy siedzący na kanapie mężczyzna mierzył przybyłego dość ciekawemi oczyma, porucznik tymczasem mu go przedstawiał. —

— Oto, proszę pana Naczelnika, majster Maciej Kuźma, bardzo porządny i uczciwy człowiek, o którym panu Radcy miałem honor wspominać...

Porucznik dawał mu na przemiany ten tytuł Naczelnika i Radcy, którym ozdobiano zwykle wszystkich wyższych urzędników w Warszawie.

Przyjemny naczelnik nie odpowiedział tak rychło, zajęty był bowiem wydobywaniem resztek obiadu z dosyć jeszcze białych ząbków.

— A wieszże mój kochany o swoich obowiązkach? zapytał w końcu po chwili milczenia. —

— Nie, proszę pana, ja nic jeszcze nie wiem prócz tego, że mam być *szpiegiem!*

Naczelnik aż się rzucił z kanapki.

— Moja duszo, moje serce, kochany człowiecze głupi jesteś jak but. Co to jest szpieg? to jest wyraz przez nieprzyjaciół porządku wymyślony na pogardę! I Wać Pan, i ja, i wszyscy uczciwi ludzie jesteśmy obowiązani służyć naszemu Królowi i krajowi, strzedz i pilno-

wać, aby w nim był porządek i bezpieczeństwo; ludzie źli podbechtani przez zagranicznych burzycieli, chcieliby zamącić spokój, aby w mętnej wodzie ryby łowić. Cóż to jest złego, pytam się, stać na straży i dawać znać o pożarze? he?

Porucznik, który czuł się obowiązany coś dodać od siebie, rzekł poważnie:

— A widzisz asan, co ja mówiłem.

Naczelnik udobruchał się po chwili:

— Instrukcją szczegółową, moja duszeczko, będzie ci dawał ten oto porucznik. Wypadnie ci mieć oko szczególnie na czeladź rzemieślniczą i dobrze ją poznać. Szkoda że asan, mój drogi panie Macieju, nie masz tam stosunków z rzeźnikami na Pradze, bo na nich najwięcej bacność zwracać potrzeba, to hałastra niebezpieczna i zuchwała. Nie potrzebuję cię przestrzegać, moja duszo, że chcąc coś wiedzieć, musisz naturalnie często sam coś gorętszego przebaknąć, bez tego nic. Różne są okoliczności, ludzie źli czasem udają spokojnych aby rząd oszukać; może się trafić że trzeba będzie zrobić jaką awanturę ażeby lepiej ich poznać. Jeżeli tam w zamieszaniu i ciebie mój kochany przychwycili, potrzebujesz mieć jakieś świadectwo coby cię obroniło. — Da ci się tu z kancelaryi kartkę z pieczętką którą w potrzebie pokazać możesz policyantom. To już tam porucznik o tych rzeczach będzie pamiętać, a gdy znajdziesz co donieść, on poinformuje gdzie i jakim porządkiem. —

Rzecz zdawała się skończona, porucznik wskazał Maciejowi drugie drzwi idące do kancelaryj, popchnął go tam, a sam został z naczelnikiem.

Chwilę milczeli oba, aż Radca się odezwał:

— Coś mu nie bystro z oczów patrzy, podobno nie wiele z niego będzie korzyści!

— Przepraszani pana Radcę, ale to w każdym stanie, rzekł porucznik, rozmaici ludzie są potrzebni, tylko wiedzieć jak ich użyć. To człek stateczny, biedą zmuszony i dla tego dobry że go się nikt obawiać nie będzie, a już ja nim tak pokieruję że z niego zrobimy ajenta co się zowie.

— A no zobaczymy, da się to widzieć, rzekł naczelnik. —

Porucznik mimo skończonej na pozór rozmowy stał ciągle, a Radca milczeniem swem dawał mu do zrozumienia że mógłby sobie pójść precz.

Tamten jakoś tego nie rozumiał, nakoniec porucznik odważył się przebaknąć:

— Proszę, pana naczelnika, co się tycze gratyfikacyj?

— Co się tycze gratyfikacyj — odparł powoli naczelnik, daje się to tam różnie wedle tego jaką rybę ułowicie, a któż to wie jeszcze czy szczupak czy płotka?

— Już proszę pana naczelnika spuścić się na mnie że człowiek będzie przydatny.

— No, no, wypłacą ci tam dwieście złotych (tu zniżył głos naczelnik) tak jak zwyczajnie, wytrąciwszy na koszt kancelaryj...

Porucznik spuścił głowę smutnie i spytał cicho:

— Jakże proszę pana naczelnika?

— Waćpan tam już wiesz.

— Ale jeżeli wolno zanieść pokorną prośbę słowo honoru, panie Radco, że kawałka chleba w domu nie mam...

Na słowo honoru uśmiechnął się naczelnik szydersko i odpowiedział:

— Sameś sobie winien, nie statkujesz... ale dość, waćpan wiesz że nie może być inaczej. Sto złotych weźmiesz do rąk a pokwitujesz z dwóchset, i sza! To mówiąc zadzwonił, wszedł żywo kulawy mężczyzna z piórem za uchem w wice mundurku. Naczelnik mu coś poszeptał, i z nim razem odprawił porucznika żegnając go:

— Idź, idź, moja duszeczko, a statkuj i bądź uczciwy...

Po upływie krótkiego czasu porucznik i Maciej Kuźma wyszli oba z domu przy Długiej ulicy, a stolarz przybity i upokorzony nie mogąc zaraz pójść wypowiadać się pod figurę Matki Boskiej polecał do domu czując jakby go kto gonił, myśląc że cały świat wie o jego sromocie.

Porucznik trzymał w ręku owych trzydzieści srebrników za które sprzedał duszę ludzką a w sumieniu jego stwardniałem nie odezwała się nawet na chwilę zgryzota, klął po cichu tego pana naczelnika który go tak grzecznie i słodko na sto złotych okradł, klął kancelistę który z pozostałych stu, jeszcze mu dziesięć przy wypłacie oderwał.

Dziewiędziesiąt pozostałych paliły rękę nałogowego pijaka. Wprawdzie miał on po szynkach, gdzie się jego obowiązków domyślano, i kredyt i daremny wódki kieliszek,

ale to nie starczyło upadłemu rozpustnikowi który łaknął przysmaków czując choć grosz w kieszeni.

W duszy jego odbywała się walka straszliwa. Miłość rodzicielska, jedyne uczucie, które jak iskra w popiołach tych się uchowało, mówiło mu, nakazywało, aby grosz ten zanieść dla Julka który się podwójną pracą dla utrzymania i nauki zabijał. Nałóg pędził go do szynku. Znał siebie dobrze porucznik i wiedział że raz tam zaszedłszy nie wyjdzie aż ostatni szeląg przepije, obawiał się sam siebie. Chciałby był spotkać co najprędzej syna aby mu oddać te pieniądze bo puściwszy się w drogę do domu czuł że przed pierwszą winiarnią pokusie ulegnie. W tej upadłej istocie było jeszcze coś co ją do świata wiązało, kochał syna i dla niego jednego do ofiary z siebie był zdolnym. Począł myśleć gdzieby go mógł znaleźć i zwrócił się przez Bielańską chcąc go szukać przy Akademij, około której czasem go w tej godzinie znajdował. Myślał nawet wziąć dorożkę aby tém pewniej do miejsca dojechać, ale dorożki na birży nie znalazł. Poszedł więc pieszo.

O kilka kroków przed nim szły dwie kobiety niosące ciężki kosz bielizny. Idąc za nimi porucznik usłyszał głos który go wielce zadziwił; zdało mu się, że to był głos jego żony, ale cóżby tu robiła po nocy i z tym ciężarem? zbliżył się. Przywykły do podsłuchów z kilku słów się przekonał że kobiety wracały od magła, że jedną z nich była w istocie żona jego, a drugą służąca. Tknęło go to dziwnie gdyż kosz ten zawierał daleko więcej bielizny niżeli jój było w całym domu. Ta wyprawa wieczorna zaczęła go niepokoić, różne myśli przechodziły mu po głowie, na ostatek gdy dochodzili do zawrotu porucznik nie mogąc wytrzymać wybiegł naprzód i grzmiącym

— Stój! zatrzymał żonę. —

Kobieta tak się ulękła że jój z rąk kosz się wysunął i część bielizny wysypała się na ziemię.

— Łapię cię na uczynku! zawołał. Co to jest? gdzie idziecie? jaka to bielizna? gadaj mi zaraz lub...

Kobieta wczoraj tak odważna dziś zdawała się struchlałą, chociaż sumienie nic jój wyrzucić nie mogło. Od porucznika mało można było wydobyć na potrzeby domu i dzieci, biedna żona pracowała ukradkiem aby mieć grosz na wychowanie syna i córki. Taiła się z tém, bo wiedziała że mąż albo by jój nic już nie dawał lub i to jeszcze co miała wydrzećby albo wykraść potrafił. Odkrycie jój lichego zarobku przeraziło ją, długo stała milcząca potem zaczęła się tłumaczyć jękając niezgrabnie, płacząc w odpowiedziach i utrzymując że chorą sąsiadkę odnosiła robotę za co tamta jój tam coś uszyć czy odrobić miała. —

Trudno zrozumieć dla czego porucznik tą razą ani był natarczywym ani nadto domyślnym, wysłuchał wszystkiego, pokiwał głową i rzekł zbliżając się do żony:

— Ten Julek to się zameczy, i uczyć siebie i jeszcze zarabiać, a to młode, oh, dodał, trochę tam dostałem pieniędzy, ale żebyś mi całe oddała Julkowi! słyszysz? bo on najwięcej potrzebuje, przysiążże mi...

Kobieta której się to wszystko jakby snem szczęśliwym wydawało, poruszona mruczała wszystkie zaklęcia jakie umiała wyciągając ręce ku porucznikowi.

Ale gdy przyszło wyrwać mu ten grosz na nowo rozpoczęła się walka w jego duszy. Chciał naprzód oddać wszystko, potem zachował dla siebie jednego rubla papierowego i pół rubelka drobnymi, potem zażądał trzech rubli, potem zachował trzydzieści złotych aż żona postrzegłszy to wahanie gwałtem prawie wychwyciła mu cztery papierki trzyrublowe chowając je co najprędzej. Mąż z razu chciał walczyć ale się upamiętał i krzyknął tylko:

— Oddajże w ręce Julkowi, słyszysz!

Kobieta już nic nie odpowiadając pochwyciła za kosz i nie patrząc co się z nim dzieje dawszy znak Kachnie pospieszyła do domu. —

Porucznik stał długo jak wryty na trotoarze, kwaśny był i zły że mu nie pozostało więcej nad dziesięć złotych. Co robić z dziesięcioma złotami gdy się miało projekta tak świetne na wieczerę w porządnej restauracyj? Oblizywał się na myśl jedzenia kapłona i polania go dobrą maderą, na to już teraz wystarczyć nie mogło; przeklinając żonę, bo ją był zwykł o wszystko obwiniać, poszedł powoli z postanowieniem wstrzymania się od jadła ale uczęstowania obficie dobrem winem.

Uczyniwszy postanowienie utraktowania się porucznik rozrachowywał jeszcze jakby się za te złotych dziesięć mógł najmocniej upić. Czuł bowiem że tą razą żona wymówek mu srogich czynić nie będzie. Pierwotna myśl napicia się wina ustąpiła daleko praktyczniejszej

skosztowania wódek i likworów u Lipkaua. Od dawna bowiem porucznik przekonał się że wina są to romanse, a rzeczywistością wódka.

Szybkim krokiem zawrócił się назад, przebiegł część Długiej ulicy i wpadł na Miodową. Stacya u Lipkaua, naprzeciw Trybunału Apellacyjnego znaną jest wszystkim co kiedykolwiek u bram świątyni sprawiedliwości, wyczekiwać musieli naznaczonej godziny. Obiór tego miejsca dowodzi trafnego instynktu przedsiębiorcy, ale nawet w godzinach w których sądy i kancelarye bywają zamknięte Lipkau ma swych wiernych zwolenników, i ustaloną reputacyą. Porucznik znalazł tu jeszcze kilkanaście osób wieczorzających, a że po większej części byli to porządniejsi ludzie, jakoś mu się wstyd zrobiło o tój porze pić tak wódkę samą. Kazał sobie coś podać a tym czasem pod różnemi pozorami zręcznie dochodził do bufetu i coraz z inną flaszką żądał kieliszka. W jednej z tych przechadzek od stolika do flaszek uderzyła go fizjonomija starego człowieka w skromnym ubraniu, który coś jadł na boku i pilnie mu się przypatrywał. Jak to się często po długich latach niewidzenia zdarza, porucznik czuł że gdzieś tego człowieka widział a przypomnieć go sobie nie mógł. Widocznie także ów jegomość nie był pewien czy ma przed sobą znajomego ale bacznie za nim chodził oczyma.

— Co u diabła, Presler czy nie? odezwał się wreszcie głos od stoliczka.

— Dalibóg to ja! rzekł odwracając się porucznik. Pan pułkownik?

— A ty co tu robisz? byłem pewny że już gdzieś od dwudziestu lat gnijesz w ziemi.

— A! jeszcze nie, rzekł z wielką pokorą i jakby zawstydzony porucznik Presler. Dawno mnie już diabli wziąć byli powinni, ale wolą męczyć żywego.

— No, coż się z tobą dzieje? Od czasu jak cię wypędzili z wojska coś robił?

— A co? panie pułkowniku biedem jadł a bieda mnie jadła. Jako żywo niesprawiedliwie przegnali mnie z pułku a potem już nigdzie człek miejsca zagrzać nie mógł. Zabawiałem się różnym przemysłem, handelkami, i ot tak, ot tak, życie się przeciułało. Jeszcze na dobitkę trzeba się było człowiekowi ożenić, a baba sekutnica i dwoje dzieci na karku.

Stary człowiek którego Presler nazywał pułkownikiem poglądał na niego z politowaniem, milczał, długo myślał, z pod oka mu się przyglądał i rzekł ciszej:

— Hem, toś pewnie musztry i exercerunku musiał zupełnie zapomnieć?

Tych kilka wyrazów dziwne na nim zrobiły wrażenie, przed chwilą był jeszcze w duszy starym żołnierzem, dwuznaczne te słowa przypomniały mu że został szpiegiem. Poczul w nich jakąś woń podejrzaną i szybko odpowiedział:

— Ale nie, panie pułkowniku, człek co raz się w wojsku nauczył tego nigdy nie zapomina.

— Aleć to już dawno! rzekł pułkownik.

— Przecie gdyby dziś potrzeba było, dodał tajemniczo Presler, jeszczeby się z karabinem i bagnetem dało rady.

Nic na to nie odpowiedział pułkownik ale się zadumał, potem nagle spytał Preslera, czy nie zechce się czego napić, poczęstował go i wstając od stolika jakby od niechcienia zagadnął o mieszkanie.

Exporucznik (który w istocie był tylko sierżantem) troszkę się zmieszał.

— Eh! to ja tam stoję gdzieś w dziurze, gdzieby tam mnie kto szukał. — Niech tylko raczy pułkownik powiedzieć gdzie stoi a będę na jego rozkazy. —

— Dopytasz się mnie w hotelu Saskim, rzekł i wyszedł żywo.

Rzucone pytanie, przypomnienie charakteru pułkownika i rozgłosnej jego sławy patryoty obudziły w Preslerze instynkt badawczy; pomyślał że może mu się nadarzyć gratka wyspiegowania tą razą czegoś ważniejszego niż między czeladzią rzemieślniczą. Z chciwością dzikiego zwierza zapomniawszy nawet o pijackich swych projektach wypuścił pułkownika przodem i wymknął się zaraz za nim śledząc jego kroki.

Izdebka którą Julian Presler zajmował pod strychem obok ojcowskiej podobną była do wszystkich mieszkań tego rodzaju — miała jedno okno, z którego niebo, dachy i latające jaskółki widać tylko było. Dostyc wązka i długa mieściła w sobie łożeczko anachorety, stolik studenta i biedny sprzęt człowieka, który jeszcze żadnego gospodarstwa

nie potrzebował. Ale to co powiedział Beranger o mieszkaniach na strychu, gdy się ma lat dwadzieścia, prawdziło się w tym ciasnym kątku. Było w nim czysto, wesoło i miło; jakaś poezja młodości wypełniała go i rozświecała. Jak sam Juljan był około siebie staranny, tak i mieszkanie jego, pewnym niewyszukanym odznaczało się porządkiem, czuć w nim było spokój duszy młodego człowieka. Jak w tém gnieździe swaru i wrzawy mogło się to młode ptasze z uśmiechem na ustach i pogodą na skroni wychować? to pojąć było trudno, ale miłość rodzicielska tworzy cuda, kochała go matka dla niego pracując i starając się wydać mu taką, aby ją mógł szanować, rozpadał się nad nim ojciec kryjąc przed nim z nałogami, ze sposobem życia i zarobkowania. — Wejście Juljana za każdą razą sprawiało ten sam skutek, ułagadzało umysły, zasiewało zgodę. Juljan wychowując się po większej części za domem, bardzo niedokładnie znał ojca i mógł go nawet szanować z daleka. Zresztą Presler był używany do tak podrzędnych usług, że go mało kto znał i domyślał się jego nieszczęsnego powołania. W domu nigdy prawie o wypadkach, o sprawie krajowej mowy nie było, a matka w nieobecności męża nie szczędziła obelg dla Moskali, których w prostym ludowym języku zwała jak wszyscy *kapuśniakami*. Miała ona do nich żal za to zbezczeszczenia męża, które ją z każdym kawałkiem chleba dławilo.

—
Wiadomo jaki był w ogóle duch wszystkich zakładów naukowych w królestwie. Mimo starannego doboru nauczycieli bojaźliwych lub obojętnych, mimo niesłychanej czujności i nadzoru, mimo nadsyłanych ksiąg naukowych fałszujących historią i prawdę, młodzież cudownie przechowała narodowego ducha. Nie można tego inaczej nazwać jak cudem. W szkołach Litwy, Wołynia i Podola, w głębi Białej Rusi studenci wychodzili nieumiejąc po polsku ale najlepszymi Polakami. Objawiał się ten duch często tak wyraźnie, że musiano go karać srodze, ale to go tylko rozrzażało. Do dziś dnia na ławach szkolnych stoją powyrzezywane dziecinnymi rękami imiona tych uczniów, którzy prześladowaniu ulegli. Pamięć ich przechowywała się jak relikwia męczeńska. Owe pamiętne odwiedziny szkół przez cara Mikołaja, w których ten Herod znęcał się nad dziećmi, w śmiałych wejrzeniach niewinności szukając już występku, przeszły jak tradycja przez wiele pokoleń studentów, zagrzewając ich tylko do miłości ojczyzny. Nawet synowie Niemców i Rossyan, dzieci urzędników policyjnych, chłopcy których rodzice żyli z łask rossyjskiego rządu w zetknięciu z tym młodym nie zepsutym światem odżywały uczuciem poczciwym i rosły na wierne dzieci polskie.

Takim sposobem i młody Juljan Presler mógł nie zarażony występkiem ojca iść tą drogą którą szła cała bez wyjątku młodzież nasza. W postępowaniu jój, w przekonaniach były wielkie różnice, wieku, temperamentu, dojrzałości. Najzapalczywsi byli bez wątpienia ci co jeszcze od ziemi nie odrosli, najgorętsze były niższe klasy, za niemi szła szkoła agronomów w Marymoncie, szkoła sztuk pięknych, której uczniowie tak ważną w ostatnich wypadkach odegrali rolę, nakoniec akademii medyczna. Studenci téj ostatniej, którzy byli ziarnem przyszłej Szkoły głównej, ożywieni gorącymi uczuciami przywiązania do kraju, okazali najwięcej wstrzemięźliwości i umiarkowania. Nie odłączyli się oni od narodu, ale stawali często jako żywioł zachowawczy w wypadkach, które zbyt szybko pchały naprzód. — Tę rolę dojrzałą zachowali oni do końca.

Marymont i Szkoła sztuk pięknych szły ognisćie przodem, Medycy, nie cofając się, regulowali ten pochód rozsądkiem i rozwagą. Wpływ ich na ludność miasta, póty póki nią władnąć było można, bardzo był wielki. — Nieraz czeladź i lud prosty przychodzili się ich radzić i, co dziwnie, ślepo szli za ich radą. Nie było odstępstw, były dowody poświęcenia, więc baczniejsze postępowanie przypisywano przekonaniom nie mając go wcale za złe. —

Tego wieczora, gdy porucznik był u Lipkawa, Juljan z trzema towarzyszami znajdował się na naradzie w swoim mieszkaniu na strychu. — Łatwo się domyślać że tam o niczym więcej nie mówiono jak o bieżących wypadkach. Juljan należał do najgorętszych, a jego szlachetny charakter, bystry umysł i życie bardzo przykładne, nadały mu, mimo młodości, charakter jednego z przewodzców akademickiego grona. Inni trzej przytomni starsi i powolniejsi spierali się właśnie z Julianem o sposób postępowania w przyszłości. Presler był tego zdania, że należało iść zgodnym i równym krokiem z Marymontem i Szkołą sztuk pięknych, przewidywał on już, a raczej wiedział o nieuniknionym wybuchu, który prędzej późnij nastąpić musiał. Starsi ludzili się jeszcze tą nadzieją, że w powolnej walce wyrabiając ducha i przygotowując środki, powstanie odwlec będzie można. Głównym

a bardzo ważnym argumentem tych co je natychmiast niepodobnym widzieli, była potrzeba i przejednania i zjednania sobie ludu wiejskiego, w części obojętnego, w części niechętnego wszystkiemu co surdut nosiło. O ile lud miejski był gotowym i potrzebującym powstrzymania raczej niż dodawania zapala, o tyle wioski okazywały się zimne i nieufne. Ale z drugiej strony, ci których zwano czerwonymi, utrzymywali że samo powstanie będzie najlepszą szkołą praktyczną patriotyzmu dla wieśniaków, że w inny sposób działać na lud nigdyby nie dopuściła czujność moskiewska, a gdyby to działanie było możliwym potrzebowaloby tak długiego czasu, że w końcu wybuch odłożyć by trzeba było na nieobrachowane lata. — Gorącą ludność miejską powstrzymywano obietnicami wszelkiego rodzaju, odkładając od dnia do dnia, ale w końcu szemrała ona, posądzała o zdradę, niecierpliwiła się. Ten zapal mieszkańców miast i klasy średniej nie był, jak widzimy, wcale zmyślony, dali oni dowody takiego poświęcenia, takiej wytrwałości i męztwa, że im się może palma męczeńska przed wszystkimi należyć będzie.

Rozprawy szły bardzo żwawo, a położenie umiarkowańszych choć byli trzech na jednego stawało się coraz przykrzejszem. — Zapal ma to do siebie, że najlogiczniejsze argumenta zwycięża, bo zapal jest już zarodem czynu, gdy rozumowanie jest zawsze jeszcze słowem. Pochwyceni zwolna uczuciem Jujana towarzysze jego miękli, wstydząc się prawie swego rozsądku.

Oczekiwano jeszcze na przybycie kilku kolegów, gdy matka powróciwszy z miasta z pieniędzmi wyrwanymi ojcu, nie mogąc wytrzymać pobiegła wprost do syna, aby mu je natychmiast oddać. Przyszedszy pode drzwi, słysząc wewnątrz głośną rozmowę, zatrzymała się przed progiem i mimowolnie przysłuchiwać zaczęła. Przez cienkie drzwi przechodził dźwięczny głos Juljana tak znajomy matce, tak miły jój uchu, że się nim napawała jak muzyką, Juljan mówił:

— Bracia! i rozum i ostrożność są pięknymi przymiotami w zdrowym życia przebiegu, ale próżno się nimi chcę kierować w dniach przesilenia, gdy gorączka jest jasnowiedząca i prościej do celu prowadzi. Będziecie mieli sto razy słuszność na zimno, ale was samych zwycięży i porwie mój szal. — Bez tój wiary nawet jaką ja mam jestem pewny, pójdziecie za mną! Rząd moskiewski nazwie to terroryzmem rewolucyjnym, a będzie to tylko terroryzm świętego uczucia, któremu się nic oprzeć nie potrafi. Przychodzą takie chwile, w których i człowiek i naród może przenieść śmierć bohaterską nad upodłone życie, naówczas instynkta zachowawcze wzdrzają się mogile, a duch z radością ku niej rozpościera skrzydła. —

Słuchając tój mowy, której tylko główną myśl schwyciła, matka zadrzała, zalała się łzami, wzrok jój padł z obrzydzeniem na pieniądze które niosła i uciekła z niemi do swojej izby, cała splakana załamując ręce. W kobiecie tój, którą życie ze stéranym człowiekiem, nędza i praca przygniotły, ozwało się jakieś uczucie zapalone miłością dziecięcą. Przypomniała sobie walkę o ten grosz z mężem na ulicy, pochodzenie tego zarobku, i papierki które niosła z taką radością, rzuciła na stół ze wzgardą. — Ale natychmiast przyszły na myśl znoje i praca biednego Juljana, konieczność ulżenia mu, pewność że się ani dowie, ani domyśli zkad przyszedł ten pieniądz przeklęty i czego był zapłatą. Złękla się ażeby mąż nie powrócił pijany i nazad go jój nie odebrał. Wybiegła powtórnie i z pospiechem zapukała do drzwi Juljana.

Chłopiec wcale się jój nie spodziewał; nie miała bowiem zwyczaju przychodzić o tój godzinie, a że oczekiwano przybycia towarzyszków, głos ze środka dał tylko znak wnijsć.

Matka uchylila drzwi, ale jeszcze raz zawstydzila się czegoś, zawahała i wróciła znowu na dół. — Pomyślała sobie, że najlepiej zrobi, najmniej się będzie potrzebowała tłumaczyć, gdy pieniądze wprost przez siostrę bratu odeśle.

Dzieweczka którą wczoraj widzieliśmy uśpioną tak spokojnie, siedziała teraz nad robotą u okna. — Była ona niemniej ładną nad brata, choć coś w jój rysach przypominało trochę ojca, ale wielki wdzięk młodości nadawał twarzyczce jój świeżej, białej i rumianej urok wiosennego kwiatka. Matka pocałowała ją w czoło, szepnęła słów kilka i wyprawiła na górę. U Julka popłoch był wielki, owo pukanie i napół odemknięte drzwi kazały się obawiać podsłuchania, ale Różia która w tój chwili wbiegła z uśmiechem na twarzy uspokoiła obawy. Zrozumiano dla czego tak trudno było nieśmialemu dziewczęciu wpaść z tem poselstwem między rozgorączkowaną młodzież. Gdy wyszła Juljan się

mocno zadumał nad pochodzeniem tego matczynego podarku, ale pilniejsze sprawy były na stole.

— Mówiliśmy o składce, rzekł Juljan, na pierwsze potrzeby sprawy, otóż w porę jakby z nieba spada mi grosz którego wcale nie potrzebuję i czynię z niego chętną bardzo ofiarę... niech to będzie ofiara wdowia do skarbu narodowego. *Crescite et multiplicamini!* dodał rzucając na stół papierki z uśmiechem.

A po chwili, podniósłszy rękę w górę, rzekł uroczyście:

— Bracia! niech żyje Polska! niech zginą jej nieprzyjaciele!

Nazajutrz o szarym zmroku, Maciej Kuźma, któremu ten dzień wydawał się wiekiem stał zawczasu pod figurą Matki Boskiej naprzeciw Dobroczynności. Oglądał się on ciągle, niespokojnie modląc w istocie aby mu Pan Bóg prędzej zesłał wybawiciela któryby jego niepokój ukoił. Po chwilce posłyszawszy nieopodal chrząkanie odwrócił się i ujrzał blondyna który mu się z trotuaru kłaniał. Poszli razem ulicą oglądając się dobrze aby nikogo nie mieli za sobą.

Maciej opowiedział co do słowa całą historią swoją dodając do niej że mu obowiązek nań włożony, nieznośnie wydawał się ciężkim.

— Mój bracie, rzekł blondyn, nic nie przychodzi lekko, jużście wielką oddali przysługę zajmując to miejsce które inny w istocie niebezpieczny człowiek mógł być otrzymać.

— Ale zmiłujcie się, przerwał Maciej, jak ja to dalej z tego wyjdę? poślą mnie, każą coś donosić, cóż ja im powiem?

— Słuchaj, rzekł blondyn, i my także mamy nie złą policją, wiemy co rząd robi, znamy agentów których on używa dla podburzania ludności, i wylapywania tym sposobem gorętszych. — Wskażemy ci tych rządowych fałszywych braci, będziesz mógł na nich donosić i zrobisz im jeszcze przysługę bo poświadczysz o ich gorliwości. My zaś przez ciebie powstrzymać będziemy mogli gdzie potrzeba, ostrzedz po cichu poczciwych ludzi aby tym krzykaczom nie wierzyli.

— Dziś kochany, panie Macieju do bawaryi przy ulicy Granicznej zbiera się wielka liczba czeladzi nabechtanej przez moskiewskich agentów, a policja gdy się wszyscy zbiorą i w najlepsze hałasować będą otoczyć ma dom i wybrać tych których zdrajcy wskażą. Idźcież zaraz do téj bawaryj, nic się wam nie stanie bo już kartkę swoją macie, w miarę jak się czeladź zbierać będzie ostrzegajcie czem to pachnie. Jeżeliby trochę szpiegów przetrzepać chciano, nicby to nie zaszkodziło. Poznacie ich po tem że na plecach mieć będą białą kredą porobione kółka.

Otrzymawszy taką instrukcją Kuźma gorliwie pospieszył na ulicę Graniczną. Bawaryja znajdowała się jak zwykle na dole i była izbą bardzo obszerną ale wcale nie wykwintną.

Gospodarz Niemiec, wielce był podejrzany o szpiegostwo, co mu wcale nie przeszkadzało w liczniejszych zgromadzeniach krzyczeć — Fifat! Fifat! panowie Polaki! i mówić o — *Ojczyźnie kokanej.*

Gdy Maciej przyszedł, zastał tylko czterech czy pięciu naradzających się w kątku i przekonał się obejrawszy ich że wszyscy mieli kółka na plecach. Oczekiwali oni już na owoc prac swoich.

Maciej kazawszy sobie dać piwa wybiegł co najprędzej do sieni chcąc stanąć na straży i przestrzegać przybywających, ale zaledwie się wymknął gdy nos w nos spotkał się z porucznikiem który tu także dążył. Rzucił okiem na jego plecy, kółka jeszcze na nich nie było.

Porucznik zdumiał się bardzo.

— Kto cię tu przysłał?

— Kto? nikt, sam przyszedłem.

— Sam? no, djabelski masz nos, ale nie bądź tak bardzo gorliwy, bo i to nic potem. Ponieważ jednak przyszedł chodź zemną, to ci powiem co masz robić.

Maciej czuł się sparaliżowanym, trudno mu już teraz było odegrać swą rolę. Przeszli ciemną sień w której nikogo nie było, a gdy porucznik przodem przestąpił próg Kuźma

z podziwianiem ujrzał na jego plecach duże koło, nieco tylko z pośpiechem i niekształtnie nakreślone, kiedy, i jak, nie mógł odgadnąć.

Kuźma nie wiele słuchał co mu porucznik mówił, oglądał się tylko, patrzył wszystkim po plecach i nie wiedział co począć, widząc coraz tłumniej napływających robotników. Pomiedzy nimi z wielkiem zdumieniem dostrzegł tego samego blondyna który przed chwilą dawał mu instrukcję, pobiegł więc co najżywiej ku niemu aby mu swoje położenie wytłumaczyć. Blondyn już o wszystkim wiedział i odesłał go ku drzwiom. Wielkiem to szczęściem było dla Kuźmy że mu się jego fizjognomja dobrze w pamięć wraziła, bo chłopak zmienił był ubranie, trochę nawet osmolił twarz i wyglądał na prostego czeladnika.

Gdy wewnątrz bawaryja bardzo się szybko wypełniała nadchodzącymi rzemieślnikami we drzwiach jej niepostrzeżona prawie przez nikogo odbyła się scena która nad pięć minut nie trwała. —

Kuźnia stojący w progu ujrzał młodego bardzo pięknego chłopaka który mu się wydał przebrany wchodzącego nieśmiało do bawaryi, w chwili gdy już jej próg miał przestąpić nadchodził właśnie w tę stronę porucznik. Młody chłopak z cicha tylko zawołał — Ojciec! i bardzo się żywo wycofał. Był to Julian który lękał się aby go Presler nie poznał. —

Spojrząwszy na plecy Kuźma zatrzymał go i wskazując Preslera, żywo rzekł mu na ucho:

— Widzisz? ten w kapeluszu z wąsami, kółko na plecach, nazywają go porucznikiem, to szpieg, to szpieg moskiewski!

Na te słowa Julian którego Kuźma trzymał za rękę krzyknął jakimś rozpaczliwym głosem, zakrył sobie oczy i jak piorunem rażony wybiegł nieprzytomny na ulicę. —

Co się działo w sercu młodego chłopca opisać niepodobna, przerażenie, boleść, szal, były tak wielkie że jak obłąkany leciał uciekając od tego miejsca w którym go ten cios dotknął. Przechodnie mogli go wziąć za zbiega z domu warjatorów, lub ściganego złodzieja. Nie wiedział dokąd, ani jak szedł, potykał się, padał, podnosił, i jęcząc boleśnie zdyszany, rozgorączkowany, przebiegłszy ogromną przestrzeń bez wytchnienia znalazł się w podwórzu domu na Dziekance. Leciał przez wschody, nie otworzył ale wybił prawie drzwi sobą i upadł użnojoną u nóg przestraszonej matki.

Kobieta tak się wylękała o niego czując że coś ukochanemu dziecku zagraża iż wpróż niżeli go się spytała, zarzyczała okropnym jękiem. Julian leżał pół żywy, a krew nosem i ustami mu płynęła.

Był w takim stanie że się z niego słowa dopytać nie było podobna. Matka uklękała nad nim rozplakana, sama nie wiedząc co począć, domyślając się na przemian, to jakiegoś przypadku, kalectwa, to czegoś nadzwyczajnego co myśl jej zgadywać nie śmiała. Daleką była od prawdy, dorozumiewała się że był ściganym może razem z innymi akademikami, krew płynąca z ust zdawała się mówić o jakimś uderzeniu i gwałcie. Obie z Rózią oblewały go wodą a matka budziła najczulszemi wyrazami, Julian jednak nie przemówił jeszcze, jęczał tylko a otworzywszy oczy za każdą razą, jakby przerażony tem co widział zamykał je spiesznie. Po chwili oczekiwania i najczulszych starań nadaremnych, Rózia z własnego domysłu, pobiegła do sąsiedniego domu po doktora. Był to młody od roku dopiero zamieszkały w Warszawie Izraelita, znany jako jeden z najgorliwszych pracowników około przejednania dotąd wydzielonego ze społeczeństwa plemienia, które miało prawo i obowiązek uważać się za obywateli Polski. Doktor Mayer szczęściem był w domu, znał on Juliana z bliska, bo w jednej z klinik specjalnych zastępował czasem wykładającego. Rózia oznajmiła mu, jak było, że Julian powrócił zdyszany, bezprzytomny bardzo zmęczony, padł, rzuciła mu się krew ustami i nosem i słowa z niego dobyć nie było można. Mayer domyślił się zaraz że w tem coś być musiało tajemniczego i pospieszył na pomoc. Znalazł jeszcze młodego człowieka rozciągniętego na podłodze a matkę nad nim lamentującą w rozpacz. Wiedział już o wszystkim, nie pytając więc chciał zbadać stan Juliana aby z niego jakiś uczynić wniosek. Ale podniecony puls, rozrażone czoło, krew która mu się do piersi rzuciła znamionowały tylko wielkie znużenie i doznane wstrząśnienie. Usłyszawszy głos doktora Julian jakby na nowo przerażony nim, wzdrygnął się, porwał, usiadł, i otworzywszy oczy usiłował zebrać przytomność. Obawa aby ktoś obcy nie doszedł strasznej tajemnicy, dodała mu siły. Na zapytanie Mayera postanowił skłamać i powiedział mu że gonili go kozacy, że się o mało w ich ręce nie dostał i ten bieg pospieszny połączony z przestachem był przyczyną choroby.

Ale to na prędcie wymyślone kłamstwo nie miało najmniejszego charakteru prawdopodobieństwa; ani lekarz ani matka nie uwierzyli mu, oboje tylko dowiedzieli się, że Julian znać przyczyny wypadku powiedzieć nie mógł. Lepszy znawca serca ludzkiego i cierpień człowieka, Mayer, zrozumiał i to jeszcze że przyczyna trwogi i niepokoju nie była usunięta. Szanując wszakże tajemnicę Juliana, przekonawszy się że krwi puszczanie nie było koniecznie potrzebnem, przepisał spoczynek, jakiś napój chłodzący i odszedł. Gdy sam na sam zostali z matką, bo Różia do apteki wybiegła, spróbowała ona wydrzeć choć słowo z zamkniętej piersi syna, ale naprzód lży tylko wydobyła, mówić jeszcze nie mógł, obawiał się tak zabić matkę jak sam był zabity; nie wiedział że ona od lat wielu żyła tą trucizną. Napróżno starała się najczulszemi pieścizoty uzyskać wyznanie, zapomniawszy się nieco, wyrwało mu się tylko z piersi kilka razy powtórzone — Ojciec! Ojciec!

— Ten wyraz krwią oblał czoło kobiety, już się prawie domyśliła wszystkiego. Tłumaczyła się jój rozpacz syna.

— Mów, nic nie taj przedemną, rzekła do niego. Lżej ci będzie gdy się wyskarżysz, tu idzie o ojca, może ci co na niego powiedziano? on ma tylu nieprzyjaciół! Zaklinam cię, mów mi.

Ale Julian zdobyć się nie mógł na siłę wypowiedzania nawet przed matką.

Ciężkich kilka godzin zbiegły tak w jękach, we łzach i oczekiwaniu; nareszcie Julian nieco uspokojony, nic nie chcąc wyznać przed matką, poszedł na górę z myślą oczekiwania na powrót ojca. Stancja porucznika przedzielona tylko była od jego izdebki cienką ścianą, tak że mógł go wracającego posłyszyć.

Gdy się to dzieje na Dziekance, w bawaryj przy ulicy Granicznej żywa także przygotowywała się scena. Trzeba znać było gorące usposobienie czeladzi rzemieślniczej Warszawskiej, aby pojąc z jaką trudnością przychodziło ją powstrzymać w objawach patryotyizmu.

Chociaż i Kuźma i kilku przebranych akademików ostrzegali większą część przychodzących o szpiegach, którzy już byli poznaczeni i o mającem nastąpić najściu policyj, gwarne i głośnie rozmowy i wykrzyki zdradzały niecierpliwość tego ludu, który się zrywał do czynu. Wytrawniejsi ludzie więcej pracujący myślą, szafujący zapał na słowa, łacniej wytrzymują odwłokę, lud cały pod panowaniem uczucia od niego wprost przechodzić musi do czynu. Rzemieślnicy nie politykując, nie rachując, nie troszcząc się o jutro, chcieli walki dla samej walki, choćby nawet bez zwycięstwa. Szło im o te chwile, w której by długie pomścili upokorzenia, a potem? Choćby śmierć! —

Tak wielkiego poświęcenia bez jakiegokolwiek nadziei skutku nie godziło się przyjąć, ale niepodobna go też było powstrzymać, bo zapał rósł z dniem każdym; a gdy ci poczciwi synowie kraju domagali się śmierci, wyrzucając tchórzostwo tym co się jój obawiali, byłże środek ukazania im niebezpieczeństw i bezużyteczności ofiary?

Wśród najgorętszych domagań się organizacyi, broni, dowódców, przebiegła te kupki gwarzące wieść o znajdujących się szpiegach i zaczęły narady o sposobie uwinienia się z nimi nimby nadeszła policya.

W jednej chwili zorganizowano ten wymiar doraźnej sprawiedliwości. Kilku młodszych rozstawiono na czatach, aby zawczasu znać dali o nadchodzącej sile zbrojnej, zręczniejszych zaś wysadzono na to aby poznaczonych kółkami rozdzielić, otoczyć i w kłótnią wprowadzić.

Gdy porucznik popijał spokojnie bawara, zbliżył się doń straszny drab, który usiadł przy tym samym stolczku i począł z nim rozmowę. Z razu była ona nic nieznacząca, ale nieznamy zaczął sobie pozwalać takich żartów, że Presler który w sobie szanował podporę tronu począł się już zżymać.

— Kochanie moje, mówił ów wysoki mężczyzna do porucznika, ja czuję, że ty musiałeś gdzieś służyć w wojsku.

— Może się waćpan nie mylisz, rzekł Presler, ale prosiłbym mnie nie tykać.

— Dla czego kochanie moje?

— Bo się tak blisko nie znamy.

— To jest że ty mnie nie znasz i to z twojej strony bardzo jest wielkim grzechem, powinieneś znać wszystkich takich jak ja.

— Dla czego?

— A macnij no się po kieszeni, masz tam pewnie karteczkę?

— Co za karteczkę?

— Już ja ci tego nie powiem, bo wiem że się domyślisz. Ale słuchaj no, dziś ci to płazem nie pójdzie, żeś tu wlażł. Wybieraj więc, czy wolisz dwadzieścia kijów, czy żebym ci smołą na czole napisał coś za jeden. —

Porucznik zerwał się z krzesła i chciał ku drzwiom, ale uczuł że go z tyłu trzymano, wziął się do kija, ale rąk nie miał, dobył ile miał siły, wołając na pomoc, ale w tejsze chwili ta sama operacya odbywała się z kilką jego towarzyszymi i podwładnymi. Każdy myślał o sobie. Presler znalazł się w rękach kilku silnych czeladników którzy go straszliwie okładać poczęli. Z rozpaczą prawie, sądząc że już dlań ostatnia wybiła godzina, zasłaniał się rękami, kijem, padał, toczył po ziemi, usiłując o ile mu pamięć dozwalała zbliżyć ku drzwiom. Nie rychło jednak, mocno pobity schronił się do ciemnej sieni, i nie śmiejąc wypaść na ulicę zatoczył wschodkami do lochu dokąd go już ktoś był uprzedził. Przesiedział tam w milczeniu nie śmiejąc tchu puścić dopóki się zupełnie nie uciszyło.

Po zбици szpiegów, wszystka czeladź rzemieślnicza rozpierzchnęła się tak szybko, że gdy nadbiegła siła zbrojna, którą wcześniej zawezwał niemiec gospodarz, nikogo już nie było, oprócz dwóch najmocniej potłuczonych w izbie, a Presler z nieznanym towarzyszem w szyi lochu. Najzabawniejszem ze wszystkiego było to, że ajenci policyjni żadnego z winnych po nazwisku wymienić nie mogli, bo ich nie znali. Niemiec nawet gospodarz któryby był chętnie wskazał burzycieli pokoju zaprzysięgał, że żaden z dzisiejszych gości, nie należał do tych co zwykle tu uczęszczali. Byli to widocznie robotnicy z innych dzielnic miasta umyślnie na tę wyprawę przeznaczeni.

Gdy Presler dobrze się rozpatrzywszy wylażł nareszcie ze swojej kryjówki i wszedł do opustoszałej bawaryi, aby tam poszukać zgubionego kapelusza i czemkolwiek się pokrzepić, zastał już na pobojuwisku samą policyą, rannych i gospodarza w szlafmocy narzekającego na te *niespokojne Polaki*. —

Presler podobniejszy był do widma niż do żywego człowieka, blady, potłuczony, przestraszony i gniewny. I on także nie umiał ani jednego wskazać nazwiska. Była to więc wyraźna policyi porażka. Zbici i cali pocieszali się wódką, której obficie dostarczył niemiec strwożony o los swego zakładu, naradzając się nad raportem, jaki złożyć mieli aby swe niepowodzenie utaić. Porucznik pożyczwszy czapki, bo kapelusz jego rozdarty na wpół, podobny był do zdechłego niedoperza, ruszył powoli do domu, wzdychając ciężko nad potłuczonymi kośćmi. Tą razą nawet obficie pochłonięta wódka na głowie jego żadnego nie uczyniła wrażenia.

Jakkolwiek w nieszczęśliwym swym stanie różne go spotykały koleje, po raz jednak pierwszy Presler był tak widocznie poszlakowanym i ukaranym boleśnie. Głęboko więc rozmyślał nad coraz czarniej jakoś wyglądającą przyszłością, ale odebrane razy obudziły też w nim gniew i zajadłość. Pragnął się pomścić na sprawcach tego zamachu, którzy śmieli tak wysokiego urzędnika poturbować.

— Ja im dam, ja ich nauczę! pomrukiwał przez całą drogę, ja im tego nie daruję, odkryję, wyszukam, i będą dyndać, jakem Presler, jakem Presler, będą dyndać panicze.

Ponotował był sobie kilka fizyonomii wyrazistszych, a szczególnie tego wysokiego draba którego za pierwszą przyczynę całej burdy uważał.

— Już chyba żyw nie będę, albo on się pod ziemię schowa, żebym go w Warszawie nie znalazł, a potem, jak tego szelmę powieszę, zkwituję już z rzemiosła. Byle tylko Julek wyszedł na doktora, niech ich djabli wezmą, służyć nie będę, zostaną uczciwym człowiekiem; bo to takie rzeczy niebezpieczne, że człek i życia niepewien nigdy.

W tych myślach, nieco wcześniej niż zwykle i daleko pokorniejszy niż zwyczajnie, wszedł po cichu do izby. Żona poznała go po chodzie i żywo pobięła ku niemu.

— Mów, zawołała, coś zrobił Julkowi, mów zbrodniarzu! Tyś gotów własnemu dziecku kamień uwiązać u szyi.

Rzuciła się nań z taką gwałtownością chwytając go za gardło, że porucznik i tak już osłabły zachwiał się i cofnął.

— Mów, coś zrobił Julkowi!

— Ale ja Julka w oczy nie widziałem, kobieto oszalałaś! Cóż się mu stało?

Ale z za lez i rozpaczy nieszczęśliwej matki trudno się czego było dowiedzieć. Porucznik powtórzył przerażony:

— Gdzież Julek? co Julkowi?

Różia która nadbiegła, z wielomownością dziecięcia, z którego jeszcze nie była zupełnie wyrosła, poczęła paplać żywo:

— Tatumiu! Julek wrócił jak szalony do domu, krew mu gębą i nosem ciekła, musiałam chodzić po pana Mayera, co mu zapisał jakieś lekarstwo. Dopiero niedawno troszkę się uspokoił i poszedł do swojej stancyi.

Porucznik który tak kochał tego syna, że dlań byłby wszystko poświęcił, pobladł i struchlał. Własne cierpienie już mu zupełnie wyszło z pamięci, obawa o syna przemogła je i zwyciężyła.

— Julek, zawołał, Julek chory! Ale cóż ja temu winien?

— Tyś wszystkiemu winien! krzyknęła matka, cierpim przez ciebie i za ciebie. Julek nic mi powiedzieć nie chciał, ale kilka razy wyrwało mu się mimowolnie jakby narzekanie na ciebie. W tym jest twoja sprawa, niegodziwy człowiecze, mów, mów, coś ty mu uczynił?

Porucznik dotknięty boleśnie, nie mógł pojąć co się działo, nie rozumiał téj napaści, ale obawa o syna, nie dozwoliła mu dłużej trwać w téj niepewności; nie słuchając żony która za nim biegła wyrzekając, poleciał na górę wprost do syna izdebki, otworzył drzwi i przypadł nagle do łóżka na którym Julian leżał blady. Matka dążyła za nim. Syn jak tylko postrzegł ojca, zerwał się o swój sile, widać było że miał nieco gorączki, podstąpił ku wchodzącej matce i rzekł do niej łagodnie:

— Proszę cię zostaw nas samych.

Zawahawszy się chwilę i wyrazisto spojrzawszy na męża, posłuszna matka ustąpiła, ale niespokojna bo nie uszedł jój wejrzenia pistolet leżący na łóżku Juliana.

W głowie porucznika wrzało i przewracało się, jakaś dziwna obawa chwytala go za serce w obec własnego dziecięcia.

Juljan nie będąc spokojnym, był jednak uspokojonym nieco i panem siebie. Gdy matka wyszła, zamknął za nią drzwi na klucz.

— Zbyt dobrze wychowaliście mnie, mój ojcze, rzekł powoli, ażeby nie wiedział, co się odemnie rodzicom należy. Wiem i to, że ani dziecię za rodziców, ani rodzice za dzieci przed sprawiedliwym sądem Boga i ludzi odpowiadać nie mogą, ale samo prawo Boże tak związało rodzinę że cokolwiek dotknie jednego z jój członków chlubą lub sromotą odbija się na wszystkich. Ojcze, powiedz mi mamli sobie odebrać życie z rozpaczy? jestli to prawda, co mnie dziś o mało nie zabiło...?

Juljanowi zabrakło odwagi, porucznik się wszystkiego domyślił, a miłość dla dziecka natchnęła go jakąś nieograniczoną bezczelnością.

— Co? co ma być prawdą? mów!

Juljan zawahał się jeszcze.

— Mów mi zaraz. —

— Ty służysz rządowi?

— Ja rządowi? ja? któż ci to powiedział? ja? stary wojskowy! com za ojczyznę krew przelewał! uderzył się w piersi.

— Zkądże ta potwarz? kto śmiał ją rzucić, mów, ażeby mi język wydarł z gęby. Kto to ci powiedział?? kto! kto? kto?

Porucznik z taką to mówił gorącością, tak pragnął syna oszukać i tak zrozpaczonemu dziecku wydał się oburzonym że Julian pobladłszy strasznie ze złożonymi rękami padł przed nim na kolana, a potem twarzą na ziemię ściskając go za nogi.

— Ojcze, zawołał rozczulony, przebacz! daruj! zapomnij! Szło mi o ciebie, o nas wszystkich. W téj chwili gdy się budzi ojczyzna, usłyszeć obwinienie takie, jest wyrokiem śmierci. Przyznam ci się nie mógłbym być wytrzymać ohdy naszego imienia. Patrz! oto broń nabita, chciałem sobie życie odebrać.

Porucznik ledwie się trzymał na nogach ale niebezpieczeństwo syna dodawało mu sił do heroicznego kłamstwa.

— O! ludzie, zawołał, kogoż ten złośliwy język nie dotknie! I mnie? mnie? com walczył za kraj, co prześladowany nędzę znoszę śmieli posądzić.

Tu zatrzymał się i nagle spytał:

— Gdzież? kto ci to powiedział?

— A! nie wiem! nie znam go, ten zbrodzień wskazał mi ciebie ręką i po dwakroć powtórzył — To szpieg...

Porucznik straszliwie się oburzył, chodził po izbie wyrzekając, klnąc, przysięgając przed synem że to była najohydniejsza potwarz.

Pocziwy Julian myślał tylko jakby ojca ukolysać i uspokoić. Chodził za nim, całował go po rękach, przeproszał. — Presler pierwszy raz w życiu grał tak dobrze komedią że go o nią posądzić nie było można, syn zaklinał się że gdyby drugi raz spotkał człowieka (którego szczęściem twarzy nie widział) życie mu odbierze.

Tak się skończyła ta scena między ojcem a dziećmi, ale Presler poruszony nią choć się obawiał żony zszedł do niej jeszcze. Przed nią kłamać nie było można, ona wiedziała wszystko.

— Słuchaj, rzekł rzucając na nią ognistemi oczyma, wiesz ty co czy nie?

— Mówiłam ci że nic nie wiem.

— Julianowi jakiś szatan powiedział że ja szpieg, Julian chciał sobie w łeb strzelić!

— Uspokoiłem go, przysięgłem, patrzajże mi kobieto, żeby się nic nie dowiedział! Ja ci życie wydrę.

Żona odepchnęła go ze wzgardą.

— Milcz! rzekła, ty nie masz prawa żadnemu z nas grozić, nikomu robić wymówek; tyś tak spodlony, że ani ojcem w domu ani mężem nie godzien jesteś nazwać się; tyś sprzedany sługa moskiewski! A jeśli kiedy na nas spadnie pomsta Boża to za ciebie. Nie groź, idź, milcz i pij swoją sromotę.

To mówiąc odstąpiła od niego i powoli poszła do izdebki syna. Księżyc był zszedł na niebie, Julian otworzył okno i uspokojony, prawie szczęśliwy patrzył na wypogodzone sklepienia napawając się wiosennem powietrzem. To spojrzenie na świat Boży było dlań modlitwą. Chwilami tylko wspomnienie wypadków, myśl że ktoś był na świecie co śmiał ten straszny zarzut ojcu jego uczynić zachmurzała jego czoło, poczuł matkę blisko siebie i uśmiechnął się do niej aby ją uspokoić.

— Idźcie spać, rzekł, mnie już dobrze, mnie już nic, bądźcie spokojni! jam szczęśliwy!

—

W pierwszych dniach po opisanych wypadkach porucznik chodził podwójnie, moralnie i fizycznie przybity, zapał jego znacznie był ochłodł, nie brał się tak gorąco jak wprzody do swojego rzemiosła, spełniał je z niechęcią, można było sądzić że chce porzucić. Ale kogo raz w swe szpony porwie ta siła szatańska, tego z nich nie wypuszcza tak łatwo. Zawołany musiał być posłusznym, przypominały się też odebrane razy i zemsta odżywiła, a pamięć doznanego przestרחu z Julianem, powoli zacierała. Pił tylko znowu więcej niż dawniej i powracał do domu milczący, chmurny, nieprzytomny, żona popychała go na łóżko ze wzgardą, i najczęściej spał nawet nie zdejmując odzieży. Dopiero nad ranem przebudziwszy się ukradkiem ją z siebie zciągał.

Ale po pewnym przeciągu czasu, wróciło wszystko do dawnych kolei. Porucznik był starym Preslerem, a otrzymana jakaś gratyfikacja obudziła w nim trochę przytartą gorliwość.

Zapomniał był zupełnie o pułkowniku z którym się spotkał u Lipkaua, i o szpiegowaniu go, gdy w parę tygodni zetknął się z nim na ulicy.

— Cóż to mi tak zniknął? rzekł do niego pułkownik. Zwyczajna wymówka przyszła na usta Preslerowi, powiedział że był chory przez dni kilka.

— Coś mi też i biednie wyglądasz, dodał stary wojak, gdybyś kiedy przyszedł do mnie jakbyśmy się szerzej rozgadali, możebym ci się ja na co przydał, a ty mnie...

Presler skłonił się i postanowił z zaproszenia korzystać.

Słówko o pułkowniku.

Był to żołnierz z 31 roku jeden z tych rzadkich ludzi których trzydzieści lat cierpienia i rozmyślań nie ostudziły w sprawie krajowej. Nie potrzebujemy nalegać na olbrzymią różnicę dwóch rewolucyj przedzielonych od siebie więcej niż ćwiercią wieku; gdyby pierwsza z nich miała ducha drugiej, albo druga te materyalne zasoby jakie pierwszej służyły, Polska byłaby już swobodną. Gdy z dzisiejszego naszego stanowiska spojrzym na

rewolucją 31 roku i porównamy ją do dzisiejszej, uderza nas niesłychany postęp, zpotęgowanie ducha, jedność jakiej naówczas nie było, poświęcenie daleko ogólniejsze i dalej idące. Ale też sam początek pierwszej rewolucji 31 roku i jej charakter, był całkiem odmienny. Tam na czele stały osobistości, jednostki, tu bezimienny ogół, tam naród włókł się naśladowniczym torem powtarzając cudze dzieje, tu urobiła się instynktowo forma właściwa działaniu, nasza własna, do okoliczności stósowna; tam na czele stało wojsko i szlachta, tu stan średni, mieszczenie, rzemieślnicy, młodzież, żydzi. W 31 roku kobiety z okien tylko rzucały bukiety, dziś pełny ich Sybir i cytadela. Różnice są niesłychanie wielkie: Chłopski, Skrzyniecki, Radziwiłł, Krukowiec i t. d., tu Ćwiek, Wawr, Kruk, Bosak, Fricze, imiona nieznane a bohaterstwa olbrzymie. Tam robili ludzie, tu współdziała cały ogół, tam były stronnictwa, tu jest jeden naród, bez różnicy stanu, wyznania, płci i wieku. Gdybyśmy pisali historię a nie proste opowiadanie powszednich wypadków tej chwili, należałoby wskazując tę różnicę ukazać zarazem że bez krwawej a nieszczęśliwej próby 1831 roku, rok 63 byłby niepodobieństwem. Z tych błędów pierwszej rewolucji skorzystaliśmy wielce, lata cierpienia dały dojrzałość, skorzystaliśmy także i z cudzych doświadczeń a nadewszystko, powiedzmy szczerą prawdę, nie wstydzmy się wyznać, że w rękach ludzi rozsądnych, poważnych, wytrawnych, wszystkie te cuda które się dziś dzieją byłyby niepodobieństwem. — Potrzeba było ślepej wiary, szalu niedoświadczenia i młodości aby się tak rzucić na stokroć potężniejszego wroga, i zadać mu klęski tak ciężkie. Materyalnie przygniecieni, moralnie odnosim olbrzymie zwycięstwa, zrywamy maskę, pokazujemy światu bezsilność tej potęgi, przed którą drżała niedawno Europa. Wszystkośmy to winni jedności, zgodzie wewnętrznej, i posłuszeństwu które, oby do końca wytrwać mogło!!

Pułkownik Zagrzebski, którego pospolicie młodzież lubiąca spieszczać i przemieniać nazwiska, zwała starym Zagrzebą, był to waleczny żołnierz z 31 roku który i nic nie zapomniał i wiele się nauczył. Choć posiwił i złamany był na ciele, w duchu pozostał młodym; ciągle obcowanie z młodzieżą którą kochał utrzymywało go w tej czerstwości która jest darem wybranych. Lat trzydzieści spędził to w wiosce swęj którą miał pod Płockiem, to w Warszawie, to, gdy było można, za granicą. Upadek pierwszej rewolucji przygniół go, ale nie odebrał mu nadziei, powtarzał po cichu piosenkę z 31 roku:

Bo co się dziś nie powiodło
Może się jutro powiedzie...

Najmniejszy ruch w Europie, każda iskierka nadziei, rozplomieniała go natychmiast, przylatywał do Warszawy, niespokojny dowiadując się co się tam dzieje i zastawał najczęściej ludzi poziewających i zdumionych że się jemu coś na wsi śmiesznego przysniło!!

Dopiero w 1861 przyjechawszy do Warszawy uradował się niezmiernie, postrzegłszy że się na coś poważniejszego zanosi. Przystąpił tedy całym sercem i duszą do rozpoczynającego się ruchu. Wdowiec bezdzietny, przybrał sobie za synów wszystkich gorliwszych pracowników oswobodzenia, był ich mentorem, doradcą, często kasyerem i najserdecznym towarzyszem. Kochano też Zagrzebę jak ojca.

Przy niezmiernym zapale pułkownik nie grzeszył zbyt ostrożnością, był trochę fatalistą, powtarzał często: co ma wisieć nie utonie, a co ma żyć tego robaki nie zjedzą. W sprawie krajowej postępował sobie prawie zuchwale, ale mu się bardzo szczęśliwie udawało. Gdy drudzy najzabawniejszemi otaczali się ostrożnościami, on ledwie niezbędne zachowywał. Chociaż w chwili, o której mowa, wybuch zdawał się jeszcze daleki, młodzież jednakże gorzała chęcią przysposobienia się do niego, wrywano sobie i przepisywano książeczki o mustrze piechoty, jazdy, kosynierów, o wojnie partyzanckiej, jeszcześmy jednego karabina nie mieli gdy drewnianymi strzelbami młódź się po pustych kątach robić bronią uczyła. Naturalnie do tych mustr pokątnych, do tych potajemnych prelekcji, Zagrzeba był używany jako nauczyciel i pomocnik, ale stary, liczbie swych uczniów coraz rosnącej i ich natarczywości wystarczyć nie mógł. Szukał sobie pomocników i przy pierwszym spotkaniu z Preslerem umyślił go zbadać i użyć do wyręczenia siebie. Wprawdzie nie bardzo za nim przemawiało to, że był z wojska wypędzony, lecz pułkownik nie dobrze sobie przypominał przyczynę tej kary, zdawało mu się że to by-

ło jakieś małe przestępstwo, które zbyt surowo ukarano. O ludzi było ciężko, brał więc pierwszego jakiego pod ręką znalazł.

Presler jeszcze się nie domyślał do czego mógł być użytym, ale jakimś przecuciem grał przed pułkownikiem rolę wielkiego patryoty. Pocziwy stary nie posądzał nigdy i nikogo o kłamanie tego uczucia, zdawało mu się że niepodobieństwem jest aby można podobne świętokradztwo popełnić. Nie zwierzając się więc jeszcze całkowicie Preslerowi, dał mu tylko do zrozumienia że go do czegoś użyć może w sprawie ogólnej. — W pierwszej chwili gdy się o tem dowiedział porucznik strwożył się i ucieszył razem. Dotąd miał tylko posłannictwo wyszpiewowywania drobnych rzeczy wcale podrzędnej wagi, tu mu się trafiała gratka, która wprawdzie wiele przynieść mogła, ale zarazem na rozgłos i niebezpieczeństwo go narażała. Jakkolwiek zepsuty Presler wahał się mocno, odstręczała go szkarada postępku, obawa o syna który się o nim mógł dowiedzieć, ale z drugiej strony gdyby się tajemnica zachowała, mógł wiele zyskać. Pułkownik tą razą ostrożniejszy niż kiedykolwiek, nie mając się od kogo o człowieku dowiedzieć postanowił sam go zgłębiać, kazał mu codzień do siebie przychodzić i powoli się z nim zapoznawał. Presler nie był mu sympatyczny, odkrył w nim zaraz pijaka, ale miał jakąś słabość do biboszków, i utrzymywał zawsze że skłonność do trunku dowodzi pocziwości, bo kto ma się z czem ukrywać, ten się zawsze upić lęka.

W tym czasie narad i projektów organizacji gdy mimo już dość ostrych przedsięwziętych przez moskwę środków, wszystko się skupiało i porządkowało, późno w noc jednego dnia pułkownik rozstawszy się z Preslerem wyszedł na miasto. Chociaż mu wcale nie mówił o celu swojej wycieczki, szpieg się łatwo domyślił że szedł na jakąś schadzkę i nie będąc jeszcze pewnym czy z tego skorzysta, przez właściwą rzemiosłu ciekawość, powlókł się za starym zdaleka. Wkrótce nabył zupełnej pewności że się nie mylił, bo pułkownik krętymi uliczkami poszedł do jednej z wielkich fabryk przerobionej ze starego kościoła i klasztoru. Gmach ten położony dosyć odlegle, ożywiony tylko we dnie, miał pozór zupełnej pustki. Wszystkie bramy były pozamykane, w żadnym oknie się nie świeciło, nie było najmniejszego objawu życia do koła. Zdala stojący Presler posłyszał tylko pukanie i policzył ile razy i jak we drzwi uderzono.

— Oho! rzekł w duchu, tu coś jest!!

Ale wnijsć za pułkownikiem dalej nie było podobna. Presler przytuliwszy się do parkanu naprzeciw, i obwarowawszy od oczów ludzkich, pozostał na straży. Widział jak kilka jeszcze osób do tej samej furty w ten sam sposób stukało, potem po kilkogodzinnem oczekiwaniu, dopilnował jak się wszyscy w milczeniu rozeszli, i nie wiedząc jeszcze jaki z tej wiadomości wyciągnie użytek, poniósł się z nią do domu. —

My pójdziemy za pułkownikiem.

Przeszedłszy puste podwórze klasztorne które już dziś straciło charakter jaki dawniej miało, Zagrzeba sklepieniami drzwiczkami dostał się do dolnej sali która dawniej była refektarzem klasztoru. Architektura, spiczaste sklepienia, wąskie okna, framugi przypominały jeszcze dawne jej przeznaczenie. Dziś był to skład rozmaitych materiałów żelaznych w fabryce potrzebnych. Dziwnie one odbijały w tem miejscu niegdyś dla cichych uczt zakonnych przeznaczonem. Wielka część refektarza nie była zajęta, w swobodniejsze dnie i wieczory mieszczono tu szkółkę rzemieślniczą, były więc ławy, stół i parę skromnych lamp przy ścianach. Gdy pułkownik wszedł, już się tu kilka osób znajdowało. Byli to widocznie ludzie wszyscy średniego stanu, ale różnych zajęć i powołania. Po rysach twarzy poznać było można kilku izraelitów po raz pierwszy dzielących prace i niebezpieczeństwa swych braci. Przynosili oni z sobą do wspólnej skarbony właściwą im przebiegłość i wytrwałość; wprawę w tajemniczo ciche działania któremi wśród prześladowań utrzymywali się przez wieki; przykład wielkiej spójności, a naostatek i materialne zasoby które nie były do pogardzenia. Szlachta którą ciężko wyleczyć z dawnych przesądów, widząc korzyści tego przymierza, przyjmując je, nie mogła jednak do ostatka oswoić się z tą myślą, że przyjdzie może w poświęceniu i gorliwości, niejednemu żydowi ustąpić. Nie można zaprzeczyć, że późno zawarta zgoda była z obu stron szczerą i serdeczną, ale ażeby stała się rzeczywistą, potrzeba było jeszcze czasu i pracy. Zdaje się że przyszłość dokona tego dzieła tak uroczyście rozpoczętego w dniu drugim marca.

Ojciec Serafin, którego nieco znamy z pierwszej powieści, kręcił się tu ocierając z jednej strony o starego izraelitę w atlasowym żupanie, z drugiej o pastora protestanckiego

w czarnym obcisłym surducie. Litewski Tatar przybyły umyślnie z pod Trok, bratersko się witał z drugim księdzem, a wieśniak z pod Łowicza zażywał tabakę którą mu gościnnie podawał jakiś galicyjski hrabia. Była to istna arka Noego, w której po parze każdego stworzenia się znajdowało; arka z której po potopie krwi, wyjdzie może kiedyś nowy świat polski, a przeszłość nasza stanie się szacowną przedpotopową pamiątką...

Ani ów zapał trochę nazbyt wystawny i krzyczący, gdy po konstytucyi 3. Maja Małachowscy i Potoccy sześciokonnymi karetami, z hajdukami i liberyą, jechali się zapisywać w księgi mieszczaństwa Warszawskiego, ani braterskie obietnice 31. roku, nie dorównają nigdy znaczeniem i powagą skromnym, cichym faktom 61. roku. Z wyjątkiem kilku chwil głośniejszego zapału, wszystko się tu odbywało w ciszy i tajemnicy, które były rekojmią szczerości. Nie mogło się nic czynić na pokaz, bo się nic nie pokazywało. Jedną może z największych ofiar, do jakich człowiek jest zdolny, były nieustanne poświęcenia miłości własnej: starzy szli pod rozkazy młodzieży, ludzie w narodzie zasłużeni ustępowali z pokorą przed nieznanymi, którzy ich przewyższali zapalem. Nie dla tego że to jest naszym, ale dla świętej prawdy po stokroć uznać należy że nigdy dzieje nie przedstawiły podobnego obrazu. Mając choć cząstkę jego malować czujemy najmocniej jak to co nam się wydaje bezsilnem i niedostatecznem, wnukom może naszym (jeżeli żyć będą nasze wnuki) zda się przesadzoną apologią. Znajdzie się aż nadto ludzi co kiedyś, później, odmalują ciemne części tego obrazu, nam się on wydaje tak jasnym i złocistym, purpurą krwi i lazurami nadziei ubarwionym jak owe cudowne wizerunki, które natchniona ręka błogosławionego Anioła z Fiesole kreśliła w chwilach zachwycenia. — Jak w jednych tak w drugich nie ma prawie cieniów, są same światłości. — Z trudnością moglibyśmy opisać tę scenę pod sklepieniami starego refektarza, zarzuconego żelastwem przemysłu, gdzie z jednej strony patrzyła na zgromadzonych przeszłość tych murów, z drugiej teraźniejszość uosobiona w narzędziach pracy, scenę braterskiego porozumienia ludzi, których jeden cel gromadził w to miejsce.

Różne były rady, lecz zgodzono się łatwo na potrzeby organizacyi, której główne zarzysy przyjęto. Rozprawy te nie wchodzą w zakres naszej powieści, powiemy tylko że pułkownik, który po raz pierwszy gmach ten oglądał, a dawno już szukał jakiejś sali, w którejby mógł bezpiecznie niecierpliwą młodzież mustrować, skorzystał z tego wieczora i wyrobił sobie pozwolenie i klucz od refektarza. Ponieważ nie było bronii a czekać na nią nie chciano, kije i strzelby drewniane miały tymczasowo zastąpić karabiny i bagnety. — Miejsce było ustronne, ze wszech miar bezpieczne, nikt się w fabryce pustej nie mógł schadzek nocnych domyślić. Zagrzeba odszedł uszczęśliwiony. —

Gdyby można przypatrzyć się całej walce jaką w duszy człowieka zle jego skłonności z resztkami cnoty prowadzą, a często jakiś niezrozumiały fatalizm gnający do złego, którego średniowieki nazywali szatanem — ten dramat duszny byłby zaprawdę goręcej zajmującym, nad wszystkie tragedie greckie.

Niema zapewne człowieka, któremuby w życiu zle nie przychodziły myśli, ale to są ziarna które wiatr rozwiewa, dopiero czyn zły wkorzenia chwast na wieki. — Jak te pół naszych ciernie i osty które co rok wycięte z każdą wracają wiosną, tak uczynki jakąś siłą tajemniczą, wiążą ze złem człowieka... Kto się raz napił, pić będzie, mówi francuzkie przysłowie.

Presler wrócił do domu walcząc z sobą, to chwytny pokusą zużytkowania tego odkrycia, to wstręt czując do niego, to odkładając na później i t. p. Czuł on, że ten krok stanowczy może go albo podnieść wysoko, albo go kosztować drogo; gra była niebezpieczna i wielka. Chwilami żal mu było trochę tego pocziwego pułkownika, który mu ufał i mimo wspomnień dość niekorzystnych, nie całkiem go potępiał, o innych już mu szło mniej daleko. —

Tego wieczora przeciw swemu zwyczajowi powrócił trzeźwy, co mocno zdziwiło żonę, i wzięwszy klucz poszedł do siebie na górę. Słyszano go chodzącego długo, wzdychającego ciężko, a około północksza zszedł do Kachny żądając aby mu przyniosła wódki. Służąca, która się nigdy podobnych poselstw bez wiedzy pani nie podejmowała, poszła ję spy-

tać o pozwolenie. Wynikła ztąd naturalnie scena burzliwa, kłótnia małżeńska, wzajemne groźby i lajania, a porucznik trzasnąwszy drzwiami poszedł sam do szynku. Żona mu tylko zapowiedziała, że go napowrót do domu nie wpuści...

— Bierz cię diabli z twoim domem, krzyknął rozwścieklony porucznik i pociągnął do pani Szymonowej na Bednarską. Tu jeszcze się jedna lampka świeciła, kilku jakichś ludzi gwarzyło w drugiej izbie, a w pierwszej z podziwieniem zastał niby drzemiącego znanego sobie kolegę niejakiego Muszyńca, który wszystkich stanów i rzemiosł w życiu wypróbował, nakoniec oparł się aż w policję. — Muszyniec, mały człeczyna o jednem oku, bo drugie gdzieś w drodze życia zgubił, więcej widział jednem, niż dużo ludzi dwóma. Był to diablak nie człowiek, na pozór słabowity, a wytrwały jak żelazo. Miał wprawdzie też samą wadę co Presler, bo był nałogowym opojem, ale ów władał nałogiem nie nałóg nim. Czasami po cztery tygodnie wódki w gębę nie wziął, trunku żadnego nie skosztował, potem nagle zamykał się na kilka dni, pił aż do choroby, i wychodził błąd, zmęczony — ale już trzeźwy. — Muszyniec był najniebezpieczniejszym ze szpiegów, bo miał nadzwyczaj wiele sprytu, nie potrzebował wszystkiego słyszeć, wiele się domyślał, a z każdym człowiekiem jego językiem mówić umiał. Stary wyga, nie cierpiał porucznika, porucznik go też nie znosił, ale udawali oba serdecznych przyjaciół. Zachmurzył się Presler zobaczywszy przeciwnika na swoim miejscu, powitał go jednak dosyć grzecznie i, *primo impetu* poszedł się wódki napić, czując się jakoś osłabionym.

— A WacPan nie pijesz? spytał Muszyńca.

— Ja nie piję, teraz takie czasy, odpowiedział zagadnięty, że się w wódkę wdawać nie można, słodka ona jest, ale bestya zdradliwa.

— Mały kieliszek, rzekł Presler, ochładza i pokrzepia.

— Krzep się i ochładzaj, ja dziś nie piję. —

Porucznikowi jakoś smutno było solo ze swym nałogiem występować. —

— Eh! rzekł, dla kompanii!

— Widzisz serce, zawołał Muszyniec, ja jak piję to już nie kieliszkiem, ale flaszką. —

— To pijmy flaszką. —

— Widzisz, jak ja zacznę flaszką, to dociągnę do półtuzina, a jak półtuzina wypiję, zaczynam półgarcówką i potem ze mnie trup.

— Co to gadać, rzekł Presler, to bałamuctwo; damy sobie słowo honoru, że nad flaszkę ani kropli.

— Co z tego, kiedy ja jestem taki człowiek, odparł Muszyniec, że gdybym sobie najśliczniejsze słowo dał, to go natychmiast odbiorę, a jak piję, to mnie żadna ludzka siła nie wstrzyma...

— No to tak, dodał Presler, pod kpem, po jednym kieliszku...

— Mnie się zdaje, mój kochany, że oba na to nazwisko zasłużym, abyśmy się tylko przytknęli do szkła...

Po długich ceregielach Muszyniec jednakże zgodził się na flaszkę patriotycznej kon-tuszówki. Byli sami, a że napoje tego rodzaju otwierają serca i usta, zaczęło się od użalań nad nieszczęśliwą dolą policyantów. Presler nie wahał się to nazwać *psim chlebem*.

— Co to, mój kochany, psi chleb, psy lepszy jedzą! człowiek między ludźmi chodzi jak parszywy, każdy go omija, żona, jeśli ją w rygorze nie trzymać, oczy zapluwa, dzieci się wstydzą, piekło na ziemi, ale z drugiej strony kiedy się nic nie umie i nic pocziwego robić nie chce, trzeba żyć i tą strawą zatrutą. Powiedz ty mnie, na cobym ja albo na cobys ty się przydał? obadwa nawet świń paść nie potrafimy...

Presler mruzczał, ale pił, Muszymec uśmiechnąwszy się rzekł mu z cicha:

— Trafia mi się gratka, jeżeli się to co myślę uda, wezmę gruby grosz i wyniosę się do diabła gdzie za granicę, bo mi to rzemiosło dojadło. Tam sobie będę mógł albo odpoczywać albo po dyletancku, tylko kiedy niekiedy, czems ważniejszym się zabawić...

— To jużście coś napatrzyli? spytał Presler.

— Od kilku dni śledzę cicho, szepnął drugi, grube ryby zbierają się tu w jednym miejscu na uboczu, tak że je wszystkie w jeden sak ułović będzie można.

Tknęło coś Preslera, żeby to nie były czasem też same na które polował.

— A gdzie to? gdzie? spytał.

— Myślisz żeś tak głupi i dam ci piezzonego gołąbka do gęby? dosyć ci wiedzieć że sobie wybrali fabrykę, która się o mroku zamyka, budynek pusty, ciemny, trzeba było przypadku, żebyś ich tam przydybał...

Z tych słów domyślił się łatwo Presler że oba na jedno wpadli. Zamilkł, dopili konuszówki mało co mówiąc do siebie, i rozeszli się każdy w swoją stronę.

Noc była wiosenna, jasna, powietrze łagodne, cisza uroczysta, rzekłbyś, że swoim płaszczem okrywała szczęście, tuliła uspionych snami błogiem, ale w tej ciszy złowrogię, w tym chwilowym rozejmie, dusza czuła przygotowanie do wielkiej walki. Ani Moskale stojący na straży tego sztucznego spokoju, ani Polacy nie mieli ufności w jutrze, wszystko znamionowało krwawą walkę, straszną burzę, której ten pokój wymuszony był przygotowaniem. Presler nie mogąc czy nie chcąc powrócić do domu, powlókł się ulicą głęboko zadumany, bijąc się z samym sobą, czy miał natychmiast z odkrycia swego korzystać, lub czekać jeszcze aby mu się to rozjaśniło. Przychodziły mu zgryzoty sumienia, wątpliwości, wstręty, obawy, ale wkrótce po nich następowało jakieś uczucie niepokoju, zazdrości, chęć wyprzedzenia Muszyńca i odebrania mu tego łupu. W naturach zezwierzęconych często spotykamy, w miejscu innych powodów do czynu, taką zazdrość namiętą, która pcha do pochwylenia przed drugim tego o czym się inaczej może nie pomyślało. Presler szczególnie czuł się dotknięty tem, iż go Muszyniec mógł uprzedzić. Wahał się długo, walczył z sobą z obawy, aby się syn nie dowiedział, ale w końcu szatańska pokusa przemogła. Przewłóczył się prawie noc całą po pustych ulicach nad Wisłą, dniało już, gdy rozgorączkowany postanowił pospieszyć z denuncyacją, aby odkładając ją nie zmięknąć.

— Julek nie może wiedzieć, nie dowie się; co ma Muszyniec schwycić mi z przed nosa, wolę ja wziąć, a potem bywajcie zdrowi!...

Myśl ta tak mu utkwiała w głowie, że natychmiast postanowił pójść do owego sekretnego biura na Długą ulicę i tam czekać na pana naczelnika, ażeby się z nim o cenę krwi, o zapłatę zbrodni ułożyć. Zdawało mu się, niedoświadczonemu jeszcze w większej wagi sprawach (gdyż dotąd do małych tylko był używany) że się będzie mógł potargować o ten nieszczęśliwy towar, który przynosił.

Dostukawszy się do biura znalazł tam tylko zaspanego stróża i pijanego kancelistę nad resztką wódki przyniesionej z szynku; flaszka stała bezbronna i Presler wyczerpnął z niej trochę siły do oczekiwania. Pan naczelnik, który lubił kolacyjki, długo po nich zwykł był zasypiać. Nie doczekał się więc go Presler aż po dziewiątej i część ranka przespał na ławie w kancelaryi. Gdy się przebudził, kancelista z nabrzękłymi oczyma rewidował flaszkę, rachując się z sumieniem czy mógł tak dużo z niej wypić. Już to dla uniknienia drażliwych zapytań z jego strony, już z niecierpliwości, przybyły natychmiast się zameldował do naczelnika. Trafił na najgorszą chwilę. Człowiek ze snu przebudzony po wczorajszej biesiadzie, im ona była weselszą i obfitszą, tem ją czarniejszym odpokutowuje humorem. Pan naczelnik z rękami w kieszeniach, kwaśny jakby się octu napił, chodził po pokoju wielkimi krokami, ziewał i był przygotowany do niemilosiernego łajania podwładnych.

Ledwie się Presler we drzwiach ukazał, zasiadł na niego z góry:

— Dobrze że też ja ciebie widzę! Co mi robicie? za co pieniądze bierzecie? w mieście spiski i bunty, rząd o niczem nie wie, na was się spuszcza, a wy darmo chleb jecie! Co to jest? co to jest? Co wy sobie myślicie? Jesteście chyba w znowie z tą hałastrą!

Gdy nieco odetchnął pan Radca, Presler poszepnął, że przychodzi z raportem.

— Pewnie znowu jakie głupstwo funta kłaków nie warto, — rzekł wzgardliwie naczelnik. —

— Przepraszam pana Radcę, odpowiedział Presler, ale to gruby interes i spodziewam się, że pan będziesz łaskaw stosownie mi zapewnić wynagrodzenie.

Na te słowa, które były jakby wstępem do targu, Radca się uniósł takim gniewem, tak począł grozić i fukać, iż Presler na prawdę się uląkł. Naciśnięty, natychmiast wyśpiewał wszystko, a w miarę jak mówił, pan Radca znacznie się udobruchawszy, złagodniał, rozczulił się i zatrzymał Preslera chcąc się zaraz naradzić nad środkami korzystania z odebranych wiadomości. —

O owęj wielkiej spodziewanej nagrodzie ani mowy nie było. W tego rodzaju ciemnych i zawikłanych sprawach zawsze wyżsi biorą zapłatę zbywając podrzędnych obietni-

cami. Pan naczelnik dla siebie spodziewał się pieniężnej gratyfikacji, może krzyża, może wyższej posady, a Preslera mógł wybornie zbyć jakimi dwuchset złotyma, z których jeszcze połowa zostawała w jego kieszeni.

Exporucznik miał tylko tę pociechę, że Muszyńcowi wydarł spodziewaną gratkę. Dzień cały upłynął w potajemnych przygotowaniach do obsaczenia wieczorem wskazanej fabryki i pochwylenia wszystkich którzyby się w niej znajdowali. I Presler i naczelnik mieli nadzieję pochwyć tam naczelników sprzysiężenia.

Tymczasem gotowało się wcale co innego. Pułkownik na ten dzień zgromadzić miał młodzież i uregulować naukę robienia bronią, do której się ona rwała. Chciał zrazu użyć Preslera za instruktora ale nie był go jeszcze pewnym, a nawet znaleźć nie mógł. Inny stary żołnierz poszedł na jego miejsce. Gdy dobrze zmierzchno, część tej młodzieży która tak niecierpliwie wyglądała dnia rozpoczęcia potajemnej mustry, powoli schodzić się zaczęła do fabryki, w której już oczekiwał na nią pułkownik. Drzwiczki odmykały się nieustannie, ale po za niemi i za murem rozstawione straże i policja czyhały już tylko na zebranie się wszystkich aby ich razem zagarnąć. —

Chłopcy schodzili się pospiesznie a pułkownik poglądając na te piękne zapalęm rozjaśnione twarze, uśmiechał się i płakał razem z radości. Ścisłał i całował każdego, zapoznawał się z nimi i jakby wkrótce miał ich prowadzić do boju dawał nauki jak się w obec nieprzyjaciela znajdować było potrzeba.

Obraz jaki przedstawiała ta sala słabo oświetlona w której siwy już wojak rozgorączkowaną młodzież, to hamował, to rozpalał przypomnieniami przeszłości, był wielki swą prostotą i tym spokojem wśród niebezpieczeństwa które stanowiło charakter wszystkich czynności naszej epoki. Każdy z nich wiedział na co się narażał tą nocną schadzka w której kije wprawdzie zastępowały broń, ale na której celu i myśli omylić się nie było podobna. Śmiechy i żarty towarzyszyły tej improwizowanej mustrze gwarniej, wesołej i ruchliwej. Zamiast karabinów, na kształt ich i podobieństwo powyrabiane z drzewa bronie służyły większej części, gdy reszta miała tylko proste kije, a jeden stary żołnierz co ich uczył, zardzewiała karabinek wydobyty widać z długiego ukrycia. W chwili gdy ustawieni we dwa rzędy chłopcy maszerowali jakby już szli na szeregi moskiewskie stukot jakiś dał się słyszeć u drzwi, wprawne ucho starego żołnierza poznało brzęk broni uderzonej o posadzkę korytarza. Z wszystkich twarzy znikł wyraz wesołości, a straszliwa odmalowała się niepewność.

Jeden z młodzieży pobiegł po za maszyny do ciemnego okna, i ujrzał, wśród dosyć jasnej nocy, cały budynek ostawiony rzędem żołnierzy. Na okrzyk jego, wszystko się rozbiegło po sali, szukając sposobu wyrwania lub ukrycia, pułkownik jeden został na swoim miejscu jak wryty, przerażony, osłupiały, poczuwszy że był niejako odpowiedzialnym za zgubę tej młodzieży. Szukał on w głowie sposobów ratunku, ale już do drzwi stukać i kolbami je wybijać zaczynało. Przytomny bo nie jednym doświadczony niebezpieczeństwem pułkownik skinął na żołnierza, do którego przyłączyło się kilku śmielszych, aby drzwi zabarykadowano, stojące blisko maszyny dostarczyły do tego materiału. — Przeciągnięto parę młynków i kilka siczekarni podpierając niemi łamiące się już podwoje.

Po pierwszej chwili przerażenia nastąpiły rady i rozmysły jakby się jeszcze ratować. — Sala miała z obu stron okna dosyć wysokie, ale niemi wkrótce się też moskale do wnętrza dostać mogli; pod jednymi widać już było przesuwające się bagnety. Pułkownik badając pozycyą, wdrapał się z drugiej strony na przymurek, aby zobaczyć czy się tamtędy wymknąć nie będzie można. Na nieszczęście i tu stało wojsko i policja. We drzwi walono coraz mocniej a co chwila oknami można się było tych gości spodziewać. Nim się jednak salę dobywać rozmyślili z tej strony ktoś z młodzieży dostrzegł w głębi refektarza zamurowane w jedną cegłę drzwiczki, ale nikt nie mógł powiedzieć dokąd one wychodziły. Być bardzo mogło iż i po za niemi stali żołnierze, ale równie też spodziewać się godziło że z tej strony mogło być nieosadzone przejście.

Gdy moskale szturmują do drzwi pułkownik zakomenderował aby kołem żelaznym które się pod ręką znalazło próbować wybić dziurę w murze. Na tę ostatnią nadzieję ratunku skupiły się wszystkie siły; zaczęli tłuc, parę cegieł wypadło i chłodny wiatr powiał od pola. Za otworem nie widać było moskiewskich żołnierzy. Drzwi te za dawnych czasów prowadziły do korytarza później obalonych; Moskale widząc goły mur bez drzwi

i okien nie widzieli potrzeby, ubezpieczyć go strażą. Nadzieja wstąpiła w serca wszystkich. Cegły sypały się z obu stron otworu który się coraz powiększał, ale tuż i żołnierze nie mogąc drzwi wyłamać, wstrząsać zaczęli oknami. Komuś na myśl przyszło pogasić światła i wszystkimi siły starać się wyłom w murze rozszerzyć. Z biedy można się już było nim precyzyjnie. Ale w chwili gdy uznano możliwość ucieczki wszyscy się wstrzymali chcąc naprzód ocalić pułkownika. Skryty w ciemnościach ani chciał o tem słyszeć i krzyknął tylko głośno:

— Do sto tysięcy fur bataljonów djabłów! mazgaje jakieś, korzystajcież z Bożej łaski, słowo żołnierskie, że inaczej nie wyjdę jak na ostatku. — Wy młodzi potrzebniejsi jeszcze jesteście ojczyźnie, od starego jak ja trutnia, jam tu was wprowadził i jak kapitan z rozbitego okrętu ostatni wyjdę lub zginę...

Jeden czy dwóch z wielką biedą wydostało się przez otwór, gdy moskale wpadli do sali a razem z nimi policyjanci z latarkami; postrzegłszy ów otwór zaraz go równie jak drzwi i okna opanowali. —

Nie było tam ani narzekania, ani jęku, ani upadających prośb, które tych katów zmiękczyłyby nie mogły. Głuche tylko milczenie przerywane ich naigraniem, przekleństwami i głuchymi razami. Niekiedy krzyk wydobył się z piersi jakby przechodzącą siłą boleścią wydobyty, ale umilkł natychmiast poskromiony mężkiem wytrwaniem.

Moskale bijąc i znęcając się wydobywali młodzież ze wszystkich zakątków sali. Pułkownik stał wzięty między cztery bagnety ze spuszczoną głową i jakby zobojeźniały. Trudno opisać radość oprawców, gdy ujrzeli tyle ofiar w swoim ręku, ale dowodzący tej wyprawie oficer policyjny, który się innego połowu spodziewał, kłął po moskiewsku widząc, że to nie byli wcale naczelnicy spisku ale chłopcy młodzi, na których policja miała tysiące sposobów ujęcia ich w swe szpony. Pułkownika oddzielono jako najważniejszego z więźniów, wsadzono do dorożki i powieziono przodem, gdy resztę bocznymi uliczkami popędzono do cytadeli.

Żona Preslera była jedną z tych nieszczęśliwych kobiet, które tylko miłość macierzyńska trzyma jeszcze przy życiu; niegdyś bardzo piękna, czego jeszcze ślady na jej twarzy pozostały, niegdyś szczęśliwsza, powoli przyszła do tego stopnia niedoli, w której człowiek na pół drętwieje, budziła się z tego snu tylko aby cierpieć przyszłością syna, dołą córki, obawą o tego męża, dla którego miała tylko pogardę i obrzydzenie. Całe dni spędzała przy pracy zadumana, wijąc ten kłębek myśli szarych który przędzie nieszczęście; ręce jej machinalnie zajmowały się robotą a w głowie marzyły się ciągle, ciągle jedne obrazy przyszłych nieszczęść, które się jej zdawały nieuniknionymi. Widziała męża to ze stryczkiem na szyi, to z pierśią przybitą, córkę swą zamiatającą błoto uliczne, syna z zakrwawioną skronią, złotym gdzieś na bezdrożu przysypanego piaskiem. Nie umiała się modlić ale gdy boleść bardzo jej serce ucisnęła, płakała. Płacz to był cichy, prawie spokojny, spadający wielkimi kroplami, po którym było lżej na sercu, i znowu powracało to odrętwienie które zwykłym jej było stanem. W niem pełniła ona machinalnie wszystkie powszednie życia obowiązki myślą będąc gdzieindziej; podobna do chodzącego posągu bez mowy i czucia. Tylko kroki wracającego do domu Juliana i świeży wesoły głos jego wstrząsały nią i rozbudzały — wracało słowo na usta, czasem uśmiech nawet. Na chwilę stawała się dlań czułą i łagodną istotą, tak jak widok męża obudzał w niej prawie szal i wściekłość. Obojętniejszą nieco była dla córki chociaż ją także kochała, ale w duszy miała to dziecię zawczasu za stracone, gdy Juliana spodziewała się ocalić i dla tego przywiązywała się doń mocniej. Było to jedno z tych dziwactw serca niewytłumaczonych, które się często spotykają po świecie; czasem do słabszej, czasem do silniejszej istoty czujemy się pociągnięci nieumiejąc wytłumaczyć co nas z nią tajemniczo wiąże. Tego wieczora jak zawsze Preslerowa siedziała przy świecy u roboty, a Różia obok niej także z igłą w ręku, gdy Julian wbiegł odnosząc klucz od swego pokoju i wszedł do izby pożegnać się z matką.

— Dla czegoż klucz odnosisz? spytała go, czy nie myślisz dziś powrócić?

— Bardzo być może, odpowiedział uśmiechając się, że jeśli się opóźnię to u którego z kolegów przenocuję.

— Wolałabym żebyś wracał do domu, odezwała się matka. Teraz czas taki niespokojny, mozesz gdzie w podejrzanym miejscu nocować, zabiorą cię z innymi...

— Moja matuniu, rzekł chłopak po cichu, kiedy drudzy cierpią, albom to ja co lepszego od nich, żebym się miał tak bardzo szanować i ukrywać... co tamtym to i mnie...

— O! nie mówże mi tego.

Chłopak zamilkł, spuścił głowę, pocałował matkę w rękę, siostrę w czoło i z wesołą poszedł piosenką. Słysząc go było długo na wschodach nucącego: *Boże coś Polskę*, pieśń, którą wówczas wszyscy nieustannie powtarzali, która mimowolnie przychodziła na usta każdemu.

Za nim poczęła ją po cichu śpiewać Rózia, a matce słuchając, po chwili łzy popłynęły rzęsiste. Córka postrzegłszy je zamilkła. —

W tém milczeniu przerywanem westchnieniami długi nieznośnie wieczór upłynął, nareście Rózi kazała kłaść się matka, a sama nie mogąc spać i nie chcąc tracić czasu zasiadła do innej roboty, czekając na męża. Sama myśl jego powrotu i obraz tego człowieka, który zawsze opily przywlekał się aby swym oddechem zatruwać powietrze tego kąta cichego, — nabawiała ją strachem, obrzydzeniem i dreszczem.

Północ już była wybiła na miejskich zegarach, gdy powolny, ciężki chód dał się słyszeć na wschodach. Preslerowa która tyle razy czuwając oczekiwała męża i syna i umiała rozpoznać ich kroki, wiedziała że to nie był Julian, który zwykle biegł żywo, cicho, z tą zgrabnością młodzieńczą, która zdaje się nie tykając ziemi, być raczej lotem niż biegiem. Presler stary po pijanemu bił się w tych ciemnych wschodach dobrze sobie znajomych, przekleństwami sypiąc po drodze. Tą razą był to chód opieszwały, wolny, ciężki, przytomnego człowieka, który idąc się ociaga, jakby się do celu dojść obawiał.

Zdziwiła się kobieta, gdy te kroki tak niepodobne do zwykłego chodu jej męża zbliżyły się do drzwi i Presler wszedł powoli w czapce na oczy nasuniętej, bladą i milczącą. Miał on fizjonomią człowieka, który z zimną krwią popełnił wielką zbrodnię i łamał się pod jej ciężarem, napróżno udając spokojność. Spojrzawszy nań żona, przeraziła się gorzej niż gdyby był jak zwykle pijanym, oczy jego stojące słupem, usta wykrzywione, dziwnie placzliwy uśmiech który po nich igrał, głębokie przytem marszczki na czole i drżenie konwulsyjne policzków nie mogły ujść oka biednej Preslerowej. Porucznik postąpiwszy kilka kroków padł na krzesło, zwiesił głowę na piersi i dobywszy zwitek papierowych pieniędzy drżącą ręką rzucił go na stół wołając głosem ochryplym:

— Kobieto weź to dla Juliana!

Ale żona, która w każdym innym razie byłaby skwapliwie pochwyliła ten zasilek tak pożądany, przyjrawszy się twarzy męża, nie miała odwagi go dotknąć. Oblicze tego człowieka mówiło tak dobitnie o popełnionym występku, pieniądz zarobiony tak wyraźnie o nim poświadczal, że się ludzić nie było podobna. Nieszczęśliwa przystąpiła doń z wolna, wlepiła weń swe czarne wypłakane oczy i zapytała po cichu:

— Coś ty zrobił?

— Nic, odparł Presler.

— Jakto nic! Cały się trzęsiesz.

— Jestem na czczo, rzekł Presler z dzikim uśmiechem. — Dajcie mi co! dajcie mi co! Te wyrazy głucho z obłąkaniem prawie wymówione mrozem przeszły kobietę, rzuciła się na pieniądze aby z ich ilości powziąć jakiś domysł o wypadku. Było tam nędznych dwieście złotych w poszarpanych papierkach, kwota dość znaczna jak dla Preslera, przecież niezwiastująca żadnej nadzwyczajnej zbrodni.

Presler, który przed chwilą żądał aby mu się coś napić dano, już był o tem zapomniał. Siedział z oczyma wlepionymi w podłogę a po ustach jego igrał złowrogi uśmiech poprzedzający zwykle obłąkanie. Był tak różny od siebie, tak przybity, że się nad nim nawet żona ulitowała.

— No, cóż ci tam jest? Co ci takiego, czyś chory?

— Ale nic! nic! nic! krzyknął gwałtownie Presler, bijąc pięścią o stół. Kiedy mówię że nic, to nic!

Potem wstał i mrużąc przechadzać się począł. Kobieta odstąpiła lekliwie, siadła na swem miejscu i w milczeniu zatopiona zajęła się dalej robotą. Presler chodził a chodził, tarł

ręką po czole, szarpał na sobie odzienie, a niekiedy z przymusem niby coś nucić próbował. Pora do snu dawno minęła ale ani Preslerowa, ani on nie myśleli o spoczynku; ona trochę jeszcze oczekiwała na syna, on sam nie wiedział co się z nim działo, ale zasnęłoby był nie mógł.

Około pierwszej ktoś zaczął stukać do bramy. Kamienica mieściła w sobie bardzo wielu lokatorów; trafiało się często że ktoś z nich późno powracał, hałas u bramy nie miał w sobie nic nadzwyczajnego, przecież słysząc go wstrząsnęli się jakimś przeczuciem oboje. Po chwili, ostrożne i nieśmiałe kroki na wschodach słyszeć się dały, a gdy się do drzwi zbliżyły Preslerowa spiesząc naprzeciw wybiegła. Równocześnie prawie otworzyły się one powoli i na progu ukazał się młody człowiek którego matka często z Juljanem widywała, blady, w oszarpanem trochę odzieniu, zmęczony. Na widok matki zmięszął się jeszcze bardziej i zaczął niby pytać o Juljana, ale wzrokiem szukał z daleka przechodzącego się ojca. Po jego twarzy, załęknienu poznać było można, że nie przychodził darmo. Dowiedziawszy się jednak od matki że Juljana nie było chciał się cofnąć gdy porucznik machinalnie zbliżył się do niego. Chwyając chwilę kiedy matka zdawała się obróconą gdzieindziej młody człowiek dał znak Preslerowi że chciałby mu coś na osobności powiedzieć. Ale w chwili gdy ten ruch uczynił oczy kobiety pochwyciły go, serce zadrżało, domyśliła się już jakiegoś nieszczęścia które przed nią ukryć chciano, i porwała młodzieńca za rękę ciągnąc go za sobą na środek izby.

— Na Boga! człowiecze, krzyknęła, mów, zaklinam cię, mów, ty coś wiesz! o Juljanie, chcesz coś przedemną utaić, dawałeś znaki jemu! jam matka, jam pierwsza o wszystkim wiedzieć powinna, ja cię nie puszcę póki mi nie powiesz.

Młody człowiek zawahał się, na widok téj boleści, łzy mu z oczów pociekły. Presler stał osłupiony, tylko wargi i twarz konwulsyjnymi ruchy mu drżały.

Była to chwila strasznego milczenia.

— Nieszczęście! nieszczęście! rzekł nareszcie młody człowiek, słabym drżącym głosem.

Cóż się stało, cóż się stało? Nie zabity? krzyknęła matka.

— Nie. Ale jest schwycony, odpowiedział przybyły, razem z wielą innymi — ja sam nie wiem jakim się cudem ztamtąd uratowałem. Byliśmy zebrani w jednej fabryce dla mustry, było nas tam kilkudziesięciu, miejsce zdawało się pewne, podły jakiś *szpieg* denuncyować nas musiał. Dwóch czy trzech uciekło wyłomem w ścianie zrobionym, reszta dostała się w ręce moskali... Juljan z nimi...

Jeszcze nie dokończył opowiadania gdy Presler ryknął jakimś dziwnym głosem, rzucił się, potem zerwał, biegał jak szalony i natychmiast chwyciwszy kapelusz nieobejrzawszy się nawet na nikogo pędem z domu wyleciał.

Nieszczęśliwej matce więcej niż przeczucie, prawie pewnośc wskazała zabójcę syna — był nim własny jego ojciec.

Pan naczelnik spoczywał na łonie rodziny i w paradnym tureckim szlafroku, z cygarem hawańskim w ustach zapijał wonny czaj, którym go kupiec ruski jego przyjaciel obdarzył, gdy służący dał mu wiedzieć że od zarania jakiś bardzo niepoczesny człowiek dopraszał się gwałtownie posłuchania.

Że to była godzina rodzinnego życia rozkoszom poświęcona, w której radca lubił być swobodnym, i nikogo zwykle nie przyjmował, mocno go oburzyła ta śmiałość jakiegoś obdartusa i kazał go wypchnąć za drzwi.

Pan naczelnik który wahał przez jakiś czas petersburskie błoto, przywiózł zeń wszystkie obyczaje i narowy moskiewskich czynowników. W salonie wieczorem był to bardzo miły, słodki i nieco sentymentalny człowiek. Wziąć go było można za sielankową istotę ucywilizowaną, trochę epikurejskich nałogów, ale wcale dobrą i niestraszną, za sybarytę lubiącego się bawić, dobrze zjeść, smaczno się napić i starającego unikać kłopotów. Ale pod tą pokrywką człowieka słabego, zniewieściałego i łagodnego przez miłość własną, krył się zwierz zimno drapieżny, któremu największe podłości i okrucieństwa nic nie kosztowały. Całe jego życie obrachowane było na zyski i korzyści materialne, gdzie nie można

było wziąć pieniędzy, tam się z ręcznie wyludzało prezenta. Wygodnie ów i wytwornie urządzone gabiny w którym pan naczelnik odpoczywać raczył, cały się składał z darów przez przyjaciół i klejnotów z powodu różnych interesów złożonych. Meble wprowadzone były kupione, ale niecałkowicie zapłacone i stolarz się o resztę upominać nie śmiał; cygaro które palił było darem jakiegoś przemysłowca, herbata którą pił ofiarą kupca, szlafrok zapłacony za małe szelmostwo, biurko prezentem nieszczęśliwego rzemieślnika, a drobne fraszki okrywające je pamiątkami różnych usług oddanych niby bezpłatnie. Żona jego chodziła w darowanej salopie i wyszachrowanym szalu. W domu tym dziwiono się niezmiernie gdy jaki zuchwalec przyszedł się upomnieć o pieniądze, całe społeczeństwo powinno się było składać na wygody dostojnego urzędnika który tak troskliwie czuwał nad jego spokojem.

Po wydanym rozkazie wypędzenia natręta hałas dał się słyszeć u drzwi, potem jakieś szamotanie i w wypartych siłą podwojach ukazał się naprzód błady Presler, potem służący który go niemilosernie w tył za kołnierz odciągał. Porucznik tak się silnie opierał, że zostawiwszy kawał oddartej sukni w rękach lokaja, wpadł do pokoju i prosto rzucił się do nóg naczelnikowi który się mocno przestraszył. Ale poznawszy Preslera i widząc go tak poruszonym dał znak służącemu aby odszedł.

— Trutniu jakiś! zawołał, czego ty mi tu włączysz? Wiesz że zakazano jest jak naj-srożej przychodzić do mnie do domu, jak ty śmiesz się tu pokazywać? Co cię tu u licha przyniosło?

Porucznik miał minę zupełnie obłąkaną, trząsał się, chwycił go za nogi, płakał, mówić nie mógł.

— Zwarjował łajdak, czy co! krzyknął naczelnik.

— Syn! syn! mój! Panie ratuj mi syna! wzięli mi jedynaka, róbcie zemną co chcecie, wyślijcie mnie na Sybir, do kopalni, zetnijcie mi głowę ale syna uwolnijcie!

— Co ty pleciesz? gdzie? jaki syn?

— Syn! syn wczoraj — tam — tam gdzie ja naprowadziłem, między tymi co ich wczoraj wzięto, mój własny syn! Ja go muszę mieć, wy mi go musicie uwolnić. Panie! zedrzyjcie ze mnie skórę, wart jestem piekła i najstraszniejszych męczarni, ja własnego zgubiłem syna!!

Mówił to głosem drżącym, zbolełym któryby był skalę poruszył, ale pan naczelnik obyty był widać z jękami ludzkiemi. Nieraz może w cytadeli przytomny był indagacyom dokonywanym za pomocą różek i kijów. Jęki rozpaczły objęły się o pierś jego nie dochodząc do jej głębi. Wieczorem w salonie rozczulał się gdy mu się trafiło pieskowi nóżkę przydepnąć, ale w sprawowaniu urzędu, asystował nieraz gdy po sto różek dawano słabym starcom lub niedorosłym dzieciakom; nie robiło mu to najmniejszej różnicy, jadł potem smaczno bifstek u Bouquerela i unosił się nad śpiewem panny Rivoli w teatrze. Zapomnieliśmy dodać że był bardzo muzykalny, słychał z miłośnictwa teatru a szczególnie rozmiłowanym był w balecie i — baletniczkach. —

Na krzyk ojca, z odpoczywającego łagodnego człowieczka stał się on nagle urzędnikiem.

— Idźże mi ty precz! zawołał. Jak śmiesz z taką sprawą przychodzić do mnie? Syn twój był między tymi buntownikami, winien jest i pójdzie z innymi w Sybir.

— Panie! krzyknął Presler, to być nie może, ja mam przecie u rządu zasługi, ja się dla was okryłem sromotą, ja wam stu wydam za niego jednego! Wyrzebię, z pod ziemi wykopię, ale mi tego jednego oddać musicie!

— Co to jest musicie? głupcze jakiś! odpowiedział zimno radca, ja cię tu nauczę tak gadać do mnie; idź mi zaraz precz! i nie śmięj nawet ust otworzyć o tem.

Presler jeszcze raz zwlókl się do jego nóg i zaczął płacząc je ścisnąć.

— Panie, zawołał, i ty masz dzieci, pomyśl gdyby ci jedno z nich schwycono? ja mam jednego tylko syna!!

— A czemuż to on lepszy od drugich co za to samo w Sybir pójdą? rzekł naczelnik. Jednego miałeś, trzeba ci go było inaczej wychować, oddać do służby, a nie puścić go samopas i rzucić między tę młodzież zarażoną buntowniczym duchem. —

— Prawda, winienem panie! rzekł jęcząc Presler, tak jest! jam winien, ja, nie on — złem go wychował, powinienem być ukarany. Karzcież mnie, wieszajcie, bo ja i tak żyć nie będę, wydawszy własnego syna w ręce oprawców,

— Co to jest oprawców? oburzony zawołał naczelnik. Głowę tracisz, oprawców? ty rząd nazywasz *oprawcami*?

Na te słowa Presler który razem z nadzieją tracić zaczął cierpliwość, zerwał się z podłogi, stanął przed nim groźny i rzekł dzikim głosem:

— Tak! wy jesteście oprawcy, oprawcy wszyscy co wam służą, ja stałem się katem ale mi oddacie syna lub... biada wam! biada wam!

To mówiąc podniósł pięść do góry, pan naczelnik pobladł i znowu z urzędnika stał się owym łagodnym wieczornym człowiekiem.

— Cichoż, cicho, moje serce, rzekł, co bo ty tak temi rękami wywijasz? Dajże pokój, upamiętaj się, pomiarkuj!

— Oddacie mi syna? wołał drżącym głosem Presler.

— Ale wszystko się może zrobić, tylko ty z temi rękami daj pokój, nie krzycz, idź, ochłoń, a już tam jakoś później zobaczymy...

Presler nagle z gniewu przeszedł znowu do błagającej postawy, zaczął go ścisnąć za nogi i całować.

— Dobroczynco mój, rzekł, życie za ciebie położę, będę ci służył, stanę się twoim niewolnikiem, uczynisz ze mną co zechcesz, ale na Boga uwolnij mi tylko syna.

— Już tylko cicho, idź idź, rzekł przestraszony naczelnik, zrobi się co będzie można, ale sobie idź... proszę cię... kochanku!

Ale Presler jak przykuty odejść nie mógł, płakał, powtarzał jedne prośby i ledwie z wielkim trudem można go było za drzwi wyprowadzić.

Naczelnik spotniały jakby wyszedł z łaźni, trzęsąc się z przestachu, wyleciał drugimi drzwiami z pokoju i nie mógł przyjść do siebie aż po śniadaniu u Stoczkiewicza, gdzie jedną butelkę wina więcej wypić musiał. Zapłacił za nią wprawdzie obywatel przybyły z prowincyi, z którym się świeżo zapoznał.

Wypchnięty od naczelnika Presler błąkał się po mieście jak oszalały, po głowie jego najdziksze wily się myśli, najśmielsze snuły projekta, bądź co bądź bodaj ofiarą życia chciał syna ocalić, myślał się udać bodaj do samego cara aby mu wydrzeć tę ofiarę. Chwilami wiała nań jakaś nadzieja że sam naczelnik syna mu uwolni, że jego zasługi otrzymają nagrodę, to znowu oddawał się rozpaczy przypomniawszy, że z gardła katom żadna nie wracała ofiara. Tych których wypuścili raz, wzięli powtóre i potrzecie, nie jeden z podejrzanych tylko, po kilka razy Sybir oglądał. Na młodzież szczególnie byli łakomi, żadnemu nie przebaczano. Widziano synów urzędników wysokie zajmujących stanowisko, zakutych w kajdany i pędzonych na wygnanie. Preslerowi wszystkie wypadki, o których słyszał, przychodziły na pamięć. Błądząc od kancelaryi do domu naczelnika, wszędzie pytając o niego napróżno, sam nie wiedząc jak zawłókł się do domu, ale tu chwili wytrzymać nie mógł, pustka była straszliwa, przypomnienia powiększały zgrzyotę.

Matki nie było w domu, Różia siedziała w oknie z zapłakanymi oczyma, Kachna płakała w drugim kącie, drzwi stały otworem, na kuchni nie było ognia, wszędzie smutek jak po umarłym którego tylko co wyniesiono na cmentarz. Presler nie śmiał pójść na górę bo by musiał przechodzić koło drzwi izdebki syna. Cichym głosem zapytał córki gdzie matka, dziecko odpowiedziało mu że nic nie wie, i porucznik z obłąkanym wzrokiem, z zaschlą wargą wyszedł znowu do bióra przy ulicy Długiej. W tym dniu jak wiek długim, potracił godziny, zgubił pamięć, zapomniał o wszystkim, pamiętał tylko że był katem własnego dziecięcia. Przechodząc gdzieś około zegarmistrza spotkał się z godziną w której zwykłym obyczajem naczelnik powinien był być w biurze. Pospieszył więc, ale zaraz przy drzwiach zastał ustawionych policyantów którzy mu na próg wnieść nie dali, napróżno prosił i nalegał, odpowiedziano mu, że jeśliby się ważył hałasować, mają rozkaz odprowadzenia go na ratusz. Na wielkie prośby, po kilku poselstwach w towarzystwie dwóch stróżów został wprowadzony przed oblicze pana naczelnika.

Było ono straszliwie groźne, chmurne, zagniewane. Porucznikowi kazano mówić od progu a pan Radca dla bezpieczeństwa trzymał się w drugim końcu sali, poglądając bojaźliwym okiem na swego podwładnego. Widocznie scena poranna i owa pięść która mu

tak blisko oczów mignęła, jeszcze się przypominały. Presler widząc te wszystkie przygotowania stał się bardzo pokornym.

— Panie naczelniku, rzekł, pan mi przyrzekłeś! zlituj się nademną!!

— Wybij ty to sobie z głowy żeby dla twoich pięknych oczu, rzekł surowo naczelnik, rząd miał schwyconego z bronią w rękę buntownika uwolnić. Podziękujesz Panu Bogu jeśli go z drugimi nie powieszają, a o przebaczeniu ani myśleć.

— Aleś mnie pan przyrzekł! przerwał Presler.

— Nic ci nie przyrzekałem, a teraz ci to tylko przyrzec mogę, że jeśli mi się poważysz raz jeszcze przyjść z temi piskami i czas zajmować to cię każę tam zasadzić z kądem nielatwo wyliziesz...

Groźba ta podziałała widać na Preslera, całą jego nadzieją były własne starania, zląkł się aby go nie zaarrestowano. Naczelnik, który w tej chwili na niego spojrział, postrzegł na bladej twarzy dwa strumienie łez, które cicho płynęły i po dwóch zmarszczkach głębokich schodziły do ust zacisniętych. Gdyby był miał trochę serca byłby się poruszył widokiem tego człowieka; egoista zakamieniały pocieszył się tylko tem że już drugi raz pięści koło twarzy swój nie zobaczy.

Presler szukał w głowie innego ratunku, nic już nie mówił i gdy się pan radca spodziwiał jeszcze długich skarg i pisku, odwrócił się nagle do drzwi i wyszedł.

To jego wyjście tak nagle po gwałtownej scenie rannej zdawało się naczelnikowi naturalnym, podejrzanem, czuł że ten człowiek tak dziwnie prędko uspokoić się nie mógł, trwoga go jakaś przejęła, pomyślał nawet czy nie wypadałoby go aresztować, ale potem dał pokój. W głębi jednak był bardzo niespokojny.

Presler mijając pośrednie stopnie wprost postanowił udać się do generała który wówczas był na czele komisji i od którego los jego syna całkowicie zależał.

Radby tu przy tej zręczności skreślić charakterystykę panów Generałów wojsk moskiewskich, którzy tak znakomitemi czyny odznaczają się w walce z odradzającą Polską.

Dzienniki pełne są okrucieństw żołnierza, barbarzyństw pijanej tłuszczy, przemocy nad bezsilnymi, zbrodni w żadnej od dawna wojnie nieznanych. Litość jest dziś uczuciem zabronionem, miłosierdzie chrześcijańskie słabością kary godną. Próżnoby o to obwiniać to głupie żołdactwo które po pijanemu samo nie wie co robi, system i jego wykonanie są dziełem starszyny, tych generałów właśnie o których wspomnieliśmy, równie walecznych na placu boju gdy idzie o dobijanie rannych i rozstrzeliwanie bezbronnnych, jak znakomitych w indagacjach sądów wojennych, w wyrokach, i w administracji powierzonego im kraju. Ani turek ani tatarzyn nie mógłby być nad nich okrutniejszy, żadne też plemie mongolskie głupszem od nich być nie może. Z wielkiej gorliwości na usługi swojego cara generał moskiewski gotów zgwałcić wszystkie prawa boskie, byle za to mógł dostać *blagodarność lentę*, a w ostatku donacyą. Chociaż w postępowaniu generałów nie widzimy wielkiej różnicy i zdawaćby się mogło że wszyscy w jednej formie odlani, są ich, jak małą, rozmaite gatunki.

Nie jesteśmy grzeczni w porównaniu, ale godzi się za to mordy i pożogi choć słowem wzgardy odplącić.

Generałów rosyjskich podzielić można na klas kilka, wszyscy przecie do drapieźnych zwierząt należą. Choć jedni powierzchownie wyglądają na łagodnych, drudzy umyślnie dziko pokazać się pragną, w ogóle cechą determinującą podziały i stanowiącą charakter, jest język jakim mówią. —

Jest, generał mówiący tylko po rosyjsku, drugi który umie po francuzku, trzeci co woli niemiecki język, bo z tym się w gębie urodził, naostatek generał mówiący wszystkimi językami, nawet po polsku.

Pierwszy który zwykle dosłużył się z niskiego stopnia jest sobie człowiek prosty chodzący regularnie do cerkwi, zwykle dosyć stary, ubóstwa cara, popów całuje po rękach, żyje z pensji, posłusznie wykonywa wszystkie rozkazy, ale miewa serce w piersi i jest po trosze człowiekiem o ile car mu nim być pozwala.

Ze wszystkich gatunków, tego jeszcze nad innych przenieść można. Owe półświatelko wymalpowanej cywilizacji bez wiary, zasad i przekonań jeszcze na jego skroń nie padło, nie wyrzekł się on ani starych przesądów, ani starych życia prawideł; ślepe, jak wszyscy, narzędzie każe w pień wyciąć gdy ukaz przyjdzie wycinać, ale po cichu zapłacz. —

Już ten drugi, który się nauczył po francuzku, i udaje liberalnego, który w nic nie wierzy i gotów rodzzonego brata sprzedać za gwiazdkę na szlifach, daleko od pierwszego jest gorszy. Szczególniejszym fenomenem życia tych ludów autodidaktów, które porządnego wychowania nie przechodziły, którym tyrania służyła za niańkę, jest to właśnie, że z oświaty i cywilizacji zamiast brać miód, biorą gnoje. Moskal cywilizowany nie nauczy ci się nic zdrowego, nic co silnym i potężnym czyni człowieka, zlizuje tylko zgniliznę cywilizacji, bierze z niej próżność, pychę, zamięłowanie zbytku, rozpustę, wszystko co stanowi ułomność, a nie co daje siłę. Nie jest to winą cywilizacji że z niej truciznę wyciągnąć można; z jednych materiałów pszczoły wyrabiają miód, a węże jady.

Jenerał który umie po francuzku często bywa liberalny w słowach, ale spytaj jego służących jak się z nimi obchodzi, żony jak z nią żyje i podkomendnych jak ich kradnie! W salonie, którego język i tuzinkowe frazy łatwo chwytają, są to ludzie przyzwoiaci, niektórzy z nich czytali nawet wiele, ale nauka nic na życie nie wpłynęła. Gatunek ten dałby się na wiele podgatunków rozdzielić, musimy tę wielką rozmaitość zostawić przyszłemu monografowi tej dzikiej istoty, — dodamy tylko że jak urzędnik moskiewski w salonie a w biurze jest istotą zupełnie różną, tak jenerał ów w kraju i za granicą całkiem do siebie niepodobny. Jest to cechą tych istot służebnych, że wszędzie z sobą noszą swe niewolnictwo, przed carem są to lokaje, a często rajfury, u wód gdzieś w Nicei lub Londynie udają ludzi. Trzeba ich widzieć gdy z tej rekreacji powracają *ad limina Carorum*, gdy kapelusz okrągły lub dżokejską czapkę mieniają na ostatniej stacji wkładając kaszkiet z gwiazdką i mikołajowskie palto. Kto ich spotkał na ulicach Paryża a zobaczy potem w Wierzbołowie lub Sosnowcach może ich śmiało niepoznać. Z dobrodziejstw cywilizacji przywożą do domu najczęściej szcztokę do paznokci, trochę pomady, a czasem wstawione zęby i umalowane włosy. —

Jenerał który umie po niemiecku jest naturalnie Niemcem, a że połowa jeśli nie więcej Rosyi jest niemiecka, on tu sobie jak w domu. Zdaje się, że sąsiedzi nasi germanowie robiąc u siebie porządek, skrzętni gospodarze, wymietli wszystkie śmiecia za moskiewską granicę.

Jest wiele szlachetnego i zacnego w tych Niemcach których nie lubim, ale proszę mi pokazać jednego *człowieka* Niemca w służbie rosyjskiej? Od dawna uznani za pedagogów Moskwy Niemcy uważają się tu za istoty szlachetniejszego rodu i przodkują wszędzie moskalom.

Była chwila, gdy nienawiść ku nim krajowców dochodziła już prawie do exasperacji, ale w terażniejszej walce z nami Niemcy nie ustąpili moskalom i zarobili sobie znowu na prawo obywatelstwa. Jenerał niemiecko-ruski nie jest tak pokaźny, nie tak fanfaron jak poprzedzający; pracuje, bierze pieniądze ostrożnie, stara się o jakąś specjalność, narodowości swęj łatwo się wyrzeka, wiary wypiera, z ochotą żeni się z moskiewką bogatą, dzieci daje na łup prawosławiu i służąc wiernie carowi dobija wysokich pozycji, wielkiego wpływu i znacznego majątku. Z niemiecką systematycznością na zimno wyrozumowując gotów rznąć, zabijać i palić podpierając się w potrzebie filozofią historyi, historią filozofii, ekonomią polityczną, Machiawelem, Ganssem, Heglem i kim wreszcie chcecie — jest to mąż uczony i wytrawny, nadewszystko wytrawny. Wielki czciciel siły, jenerał niemiecki ugina przed nią czoło, służy jej a w przypadku gdyby mu trzeba zmienić mundur lub opinią, na wszystko gotów.

Ma jednak słabostkę, choć się niby zaparł swęj narodowości, pomaga po cichu wszystkiemu co niemiecką szerzyć może w Rosyi. W istocie przekonany on jest, że Imperium rosyjskie omyłką tylko liczy się do państw słowiańskich, a rzeczywiście jest to przez Niemców zawojowana Mongolia. Może on ma i słuszność. —

Ostatni gatunek jenerała wychowanego tak szczęśliwie że umie i po angielsku i po włosku, może ze wszystkich jest najniebezpieczniejszy. Człowiek ten co się wiele a powierchownie uczył, najwięcej też nabrał zarozumiałości, wierzy tylko w siebie, cara już nie ma za bóstwo ale za narzędzie które zręcznie spożytkować umie; poważny, zamknięty, szanujący się mocno, wie on, że z jemu podobnych robi się w Moskwie wszystko począwszy od kuratora uniwersytetu, ministra oświecenia aż do naczelnika wojennych zakładów, gospodarza skarbowych majątków, dyrektora banku lub wodza wszystkich cesarskich teatrów. Wie on, że może pojechać do Chin za ambasadora, do Paryża po ładną aktorkę lub na Sybir na wielkorządcę. Pamiętny wielkich swych przeznaczeń, szanuje on w sobie

to drzewo, z którego może wystrużają jakie małeńkie berełko, lub jaką wielką szubienicę.

Jenerałowie tego rodzaju z równą łatwością zmieniają suknię wojskową na cywilną, jak frak na mundury. — Są to ludzie z których wszystko się robi w Rosyi, a że wojskowość jest podstawą wszystkiego, ci co chcą dojsć wysoko, muszą służyć w wojsku, bo ci którzy tylko byli w służbie cywilnej zawsze kulawo jakoś idą do góry.

Nie wyczerpaliliśmy wcale tego przedmiotu a przecież pojętna jego rozmaitość może nas za daleko uniosła. Dużoby tu jeszcze było do powiedzenia (co się gdzieindziej jeszcze powiedzieć może) tymczasem wrócim do powieści.

Jenerał do którego postanowił udać się Presler, należał do drugiego gatunku, umiał on po francuzku, ale nauczywszy się późno od jakiegoś francuza rodem z Pskowskiej gubernii wymawiał: *Fiermie la port* i t. p. Był to jeden z tych siepaczy których rząd używał zwykle do krwawych posług, przekonany że jak tylko największa zgroza przez władze jest nakazana, już tem samem staje się godziwą, bił, siekł, głodził, straszył, zarzynalby był i palił, byle na to miał ukaz z pieczęcią cesarską. Wierząc że wszelka władza pochodzi od Boga, służył władzy jak Panu Bogu, sprzedał jój swój rozsądek, którego miał niewiele, i sumienie z którym się nigdy nie rachował. Nałóg srogości wyrobił w nim taką obojętność jaka się rzadko w ludziach spotyka, nabywają jój czasem, na cierpienia fizyczne, chirurgowie przywykli codziennie ręce i nogi piłować, i jenerałowie moskiewscy po tych cytadelach tajemniczych, których męczeństwa płaszcz postrachu okrywa. Był to człowiek lat podpięćdziesiąt, z twarzą głupią, bladą, nalaną, przywykły do szerzenia postrachu i swojej wszechmocności, niewielkiego umysłu, niezbyt nawet przebiegły ale ideał nierozumującego służalca.

Cały jego dzień upływał na badaniach w cytadeli, które gdy obwiniony był mocniej podejrzanym, a rządowi pilno dowiedzieć się było prawdy, kończyły się zwykle chłostami i katostwem. Jenerał bywał tym egzekucjom przytomny, a krzyki nieszczęśliwych wcale już na nim nie robiły wrażenia. Gdy po dniu tak uczciwie spędzonym wracał na łono rodziny na czaj wieczorny, nigdy mu na myśl nie przyszło narzekać na rząd barbarzyński, ale klął tych niegodziwych Polaków co się na dobrodziejstwach moskiewskiego rządu poznać nie umieją. Nie łatwo to było docisnąć się do takiej matadory (bez kalamburu) ale Presler miał różne stosunki i wychodząc z domu, jakby przecuciem zabrał ze stołu pieniądze o których żona zapomniała. — Wiedział on dobrze, że po wszystkich moskiewskich większych i mniejszych juryzdykcyach począwszy od stróża aż do jenerała, wszystkim się najuboższy opłacać musi. Pełniąc ohydne obowiązki oprawców ludzie którzy się na nie poświęcili, ciągną zyski i ze strawy więźnia i z niewygód jego i z ostatniej koszuli i ze wszystkich co doń chcą przystąpić. Gdzieindziej na świecie znajdzie się zabląkana litości iskierka, tu litość kupować trzeba za gotowe pieniądze. Sprzedajność równa się barbarzyństwu.

Pod wieczór dnia tego gdy jenerał, mówiąc ich językiem, *oddychał*, co znaczy odpoczywał, przekupiony sługa wpuścił doń Preslera. Gabinet tego pana życia i śmierci tyłu ludzi, wcale nie był podobny do wytwornego buduaru pana naczelnika. Nie znać tu było najmniejszego starania o jakąkolwiek wygodę, plugawa stara kanapa z wysiedzianą poduszką skórzaną służyła za tron panu jenerałowi, prosty stół zarzucony papierami stał przed nim, jedno wygodniejsze krzeselko, szafa bejcowana, zegar lada jaki — otóż i wszystko. Drzwi tylko ten pokój dzieliły od zajmowanych przez jenerałowę z rodziną.

Mikołaj Siergujewicz w surducie mundurowym bez szlif, palił cygara i czytał „Inwalida”. Gdy Presler wszedł, długo na niego patrzył. Zwyczaj badania nie opuszczał go i teraz, chciał się domyślić człowieka nim z nim miał mówić. Ale postawa porucznika nic go nauczyć nie mogła.

— Nu, czego tam chcesz? zapytał w końcu.

Nim rozpoczął mówić Presler, przyszedł pokornie, a raczej przepelznął, aż do jego kolan i całował je płacząc.

— Nu, gadajcie!

— Panie jenerale, jestem ajentem policyjnym, służyłem rządowi wiernie przez lat kilkanaście, mogę powiedzieć, że i wiele za to zniósł i dosyć się nieraz przysłużył, ale mnie srogie dotknęło wczoraj nieszczęście. — Ja sam doniosłem że się tam w fabryce

jednej młodzieź zbierała na mustrę, pomiędzy tą młodzieżą schwytano własnego mego syna, syna — jedynaka. Panie jenerale, weźcie życie moje, ale przebaczcie temu dziecku!

Gdy Presler to mówił, jenerał wciąż nań patrzył żując cygaro. Chociaż od lat kilku miał do czynienia z więźniami polskimi, nie nauczył się być dobrze po polsku; z trudnością rozumiał język a gorzej jeszcze nim mówił.

— A! rzekł, to to z tój szajki miateźników co ich tu wczoraj z tym starym przypędzili — wszyscy pójdą w Sybir bez wyjątku!!

— Panie jenerale! jedyne moje dziecko. —

— Co tam *panie jenerale! panie jenerale!* (kłuło go że mu nie mówił: *prewoschodytelstwo*) ja dla was nic nie zrobię, nie trzeba było syna puszczać na takie szelmstwa, trzeba jego było lepiej uczyć, ot co, *poszoł won!*

Presler jeszcze go ścisnął za nogi, ale jenerał zniecierpliwiony już go niemi kopać zaczął. Krew burzyła się w starym, ale wżgląd na to, że los syna był w ręku tego człowieka, czynił go cierpliwym, dawał się kopać nie ustępując.

— Panie jenerale! wołał, ja wam odkryję wszystkie ich spiski. —

— Co ty możesz odkryć?

Na chwilę, zastanowił się.

— Ty nic nie wiesz, ale słuchaj, syn twój może być wolnym, niech tylko powie wszystko, niech wyda, swój ten *komitet Centralny* — ja jego uwolnię, oficerskie słowo. —

Preslerowi jakies mdle nadziei światelko zabłysło.

— Ja każę przyprowadzić twego syna, jego już dziś badali, ale milczy jak kamień; chodź ze mną.

Nic nie odpowiadając Presler ruszył się za panem jenerałem, który zawołał żołnierza, coś do niego poszeptał i skinąwszy na porucznika począł go prowadzić z sobą. Przeszedłszy dziedziniec, kilka strażą obwarowanych bram, drzwi i korytarzy, znaleźli się nareszcie w tój izbie znanęj wszystkim odwiedzającym więźniów, do której zwykle przyprowadzają ich aby przy katach świadczyli że ich nie katowano. Jenerał siadł a Presler stanął z bijącym sercem oczekując na przyjście syna. Długa jednak upłynęła chwila nim brzęk karabinów oznajmił że go wiedziono.

Ojciec rzucił się naprzeciw niemu, ale krata dzieląca salę przystępu broniła. — Julian szedł błądy z twarzą pełną uroczystęj odwagi męczennika, widać było na nim że w tym jednym dniu przeżył i przebył więcej niż w życiu całym.

Jenerał wskazał nań ręką Preslerowi i rzekł:

— Nu, macie tego swego syna, powiedzcież temu łajdakowi, że jeśli chce świat oglądać niechaj prawdu gada i za swoje szelmstwo żałuje!

— Julku! krzyknął Presler zbliżając się do niego i załamując ręce, jeśli masz cokolwiek miłości dla rodziców, zlituj się nad nami, mów co wiesz! a pan jenerał przyrzeka że będziesz wolny.

Juljan dziwnie spojrział na ojca.

— Ojcze, rzekł, ja nic nie wiem, wiem to że sam może winien, ale nikt więcej.

— Słyszysz, słyszysz, ot co gada buntowszczyk! krzyknął rozjuszony jenerał, tacy oni wszyscy! pójdiesz do tacek do kopalni... albo na szubienicę...

— Julku! ulituj się nad nami, jeśli nie nademną to nad matką!

— Ani ty ojcze, ani matka nie macie prawa żądać odemnie abym dla miłości waszėj podłością się skaził, rzekł młodzieniec; patrz! dodał nagle odsłaniając surdut i pokazując zakrwawioną koszulę, patrz, bito mnie dziś, bito ażem mdlał, alem nie zesłabł, alem wzmocniał, ale się dam ubić a nie powiem tym katom słowa!! Nie okupię wolności mojęj szkaradną zdradą, pójdę na śmierć i zostawię po sobie w miejscu dziecięcia waszego, czystą i pocziwą mogiłę. — Ojcze, mówił rozogniając się coraz bardziej, możeszże odemnie tego żądać, ty stary żołnierz polski, coś za ten kraj walczył za który ja może umrę...

Presler począł okrutnie płakać a jenerał tupiąc nogami wołał aby natychmiast więźnia wyprowadzono. Na Julianie gniew ten wściekły żadnego nie robił wrażenia, żołnierze go popychali, on stał jak wrosły w ziemię.

— Ojcze daj mi rękę niech ją pocałuję, zawołał, a potem na wolą Boga. —

Ale Presiera chcącego zbliżyć się do syna żołnierz odciągał z drugięj strony a okrutnemu jenerałowi przyszło na myśl pomścić się na szlachetnym młodzieńcu zadając mu cios

okrutny. Postrzegł on z wyrazów wymówionych przez Juliana że o rzemiośle ojcowskiem nie wiedział i krzyknął w pasy:

— A wiesz ty co to twój ojciec? he?

Juljan odwrócił się z dumą ku jenerałowi —

— Stary żołnierz polski...

— Ha! ha! zakrzyczał zbir radując się zawczasu wrazeniu jakie miał uczynić... ty wiesz...

Już jego usta miały wymówić wyrazy, któreby były przebodły pierś młodzieńca najcięższym dla niego razem, gdy Presler wyrwawszy się z rąk żołnierza, skoczył do Mikołaja Siergiejewicza i zamknął mu usta obiema dłońmi.

Wielmożny ów Katownik uląkł się straszliwie, cofnął, a w tem zamieszaniu i wrzawie uprowadzono Juliana... pozostał rozjuszony zbir i porucznik którego żołnierze schwyтали i trzymali zdaleka.

— Ha! zawrzeszczał z pięściami przyskakując do bezbronnego jenerał i tłukąc go niemi po twarzy — ha! jak ty śmiałeś dotknąć mnie! jak ty śmiałeś... ty... ty...

Presler znowu stał się pokornym jak baranek, znosił razy, milczał, przypadł nawet na kolana usiłując przebłagać groźnego wroga, który nie żałował pięści i razów, a naostatek rozkazał żołnierzom dać mu jeszcze kijami i wypuścić.

Zkąd ta wspaniałomyślność wzięła się mu, dla czego nie kazał Preslera zamknąć w cytadeli, tego trudno zrozumieć.

— Słysz, rzekł do niego w końcu odchodząc, jak ty mi piśniesz słowo o tem co tu było, każę ci rozstrzelać... rozumiesz... oficerskie słowo...

W końcu dodał jeszcze parę razy ulubione swoje *paszoł won*, a nieszczęśliwy agent policyjny, wyciągnięty za kark przez żołnierzy, za drzwiami się im ostatek wykupić musiał od razów, które zastąpiły gęste kulaki.

Oszalały, oszarpany, wywłókł się tak ku wrotom cytadeli, sam nie wiedząc dokąd idzie i co dalej pocznie z sobą, gdy usłyszane nagle znajomym głosem wyrzeczone przekleństwo osłupiałego wstrzymało.

Blisko tego mostu nad którym powinienby stać napis jaki Dante położył u wrót piekła, pod ścianą, ujrzał siedzącą żonę... przez tych kilkadziesiąt godzin tak zmienioną boleścią okrutną, że trudno mu zrazu było ją poznać.

Postać to była nie zrozpaczonej Nioby starożytniej, ale furji której sił brakło na wściekłość. Widok sprawcy wszystkich jej cierpień osłabł przywiódł do tego stanu wściekłości. Z rozpuszczonymi włosami, z suknią podartą, z twarzą oblaną łzami, z zaognionymi oczyma, z pniącymi ustami, zdawała się chcieć porwać na niego aby go rozszarpać, ale sił jej nie stało i padła z zaciśniętymi dłońmi miotając się w konwulsyjnych drganiach...

Siedziała tu od poranka próżno, błagając aby ją do syna dopuszczono, gnana i bita, znosząc naigrwania pijanej tłuszczy. Z serca jej szal przechodził do głowy, głód i ból odbierał jej powoli przytomność, — widok męża ją przywrócił. —

Porucznik cofnął się z przestachem ale uciekać nie mógł; sam nieszczęśliwy zrozumiał jej rozpacz, ulitował się... chciał ją podnieść z ziemi i uprowadzić. —

— Nie tykaj mnie! wrzasnęła przeraźliwie, widząc że się zbliża, nie tykaj zabójco... między tobą a mną nie ma już nic wspólnego... ostatni węzeł ty zerwałeś! nie mam dziecięcia... nie jestem żoną twoją... nie znam cię, szatanie — precz! precz! precz!!

Cóż było odpowiedzieć? Presler zapłakał, zatrzymał się, ale widząc że się jej szal powiększa, odszedł powoli.

W chwili gdy on znikł z oczów kobiety, która płakać gorzko zaczęła, zbliżyła się do niej czarno ubrana postać.

Była to podeszłego wieku niewiasta, jedna z tych tysięcy naszych świętych męczennic, które się poświęciły na usługę braciom... męczennic, gdyż każdy co jest zmuszonym ocierać się o żołdactwo moskiewskie, godzien się staje tego nazwiska. Ileż to przecierpieć musi każda spokojna, skromna, zacna kobieta, której przychodzi żebrać ich litości!

Nie mają oni ani poszanowania dla wieku, ani czci dla boleści, ani względu na słabość — a najlitościwszy z nich wstydzą się nawet pokazać że ma serce... — jeźli nie jest okrutnikiem, to okrutnika udaje. —

I ona z cytadeli wracała, i ona miała tam syna, i ona szła z wypłakanymi oczyma modląc się przez tę kalwaryjską drogę, która do krat żelaznych więzienia prowadzi —

ale mimo własnego cierpienia postrzegła ubogą kobietę i schyliła się ku niej żegnając ją krzyżem, bo wiedziała że na straszną tę rozpacz słowo byłoby już nieskutecznym.

— Biedna kobieto, rzekła, co ci jest? mów! wstań, nie poddawaj się... opamiętaj. Bóg litościwi!!

— Bóg i bóg nie ma litości! z dzikim śmiechem odpowiedziała Preslerowa... zabrał mi dziecko moje jedyne...

— Nie tyś jedna taką sierotą, odrzekła kobieta... jam równie wyprobowana, syn mój jest tu także za temi murami, a ja nawet twarzy jego widzieć, głosu posłyszeć nie mogę. I przychodzę tu co dnia daremnie, i błagam ich, napróżno... i odchodzę bez nadziei. —

— A! chyba nie kochałaś syna...

— Ja! kobieto nie bluźnij... on mi był jeden na świecie... ja nie mam nadeń nikogo — ale ja ufam w miłosierdzie Boże... —

Tą razą kobieta podniosła na nią oczy nic nie mówiąc, a po chwili szepnęła:

— Módl się i za mnie, jam zapomniała się modlić...

— Chodź ze mną... ja cię nauczę, modlić się będziemy razem...

Pierwsze to było słowo pociechy jakie usłyszała nieszczęśliwa i posłuszna mu wstała powoli, jak dziecię słabe dając się prowadzić... Przyszła już była do tego stanu odrętwienia w którym długie dawniej dni spędzała, ale stokroć było teraz straszniejsze, bo myśl nawet, ta czarna towarzysząca godzin samotnych, z głowy jej uciekła i ciemności oblały ją nieprzebite, — z szału przeszła w niemoc zupełną...

Potrzeba było litościwej niewieście, która ją wyrwać chciała z tego miejsca, pomocy dwóch najętych ludzi, aby wsadzić do powozu i uwieść do miasta.

Presler idąc tak oszalony i nieprzytomny wprost tylko ciągle przed siebie, znajdował się naprzeciw Dominikańskiego kościoła i machinalnie zwrócić się miał ku Długiej ulicy, gdy za sobą głos jakiś wołający go po nazwisku usłyszał. Odwrócił się i ujrzał Muszynca srodze pijanego, który nań kiwał, zarazem grożąc mu na nosie. — Szanowny ten kolega był w tak dobrym humorze, że się na nogach utrzymać nie mógł, twarz jego zwykle bladą okrywał rumieniec tej barwy jaką ma zwykle mięso świeżo zabitego zwierzęcia. Usta uśmiechały się tą wesołością wódczaną, która się ze wszystkiego na świecie śmiać gotowa, oczki błyszczwały złośliwym sprytem, który spotęgowała siła pochłoniętego trunku. Presler stanął, i czekał na spieszącego ku niemu człowieka.

— A! niegodziwce ty jakiś! zakrzyczał nań Muszyniec, otoś mi figła wyplatał, ha! wziąłeś mi z przed nosa, na co ja tak długo polowałem! I klapnął go po ramieniu.

— No, niech cię djabli wezmą, nie gniewam się. Ja się sobie zrewanżuję. Ale powiedz mi, tak sumiennie jak między ludźmi honorowemi przystało, co też oni ci zapłacili?

Na wspomnienie samo wypadku, który tak gorzkie za sobą pociągnął następstwa, Presler aż się wzdrygnął. Spojrzenie na wyraz jego twarzy przestraszyło nawet pijanego towarzysza, który dodał szybko. —

— Coż ci to? chory? czy cię pobili? twarz cała w sińcach! czy cię już ta hałastra uliczna wyszpiegowała i napadła?

— A! nieszczęście, odparł głuchym głosem porucznik. Przeklęty ten dzień i godzina kiedym gębę otworzył; wszystkie kłęski spadły na mnie! Stała się najokropniejsza rzecz, najstraszniejsza zbrodnia jaką kiedy człowiek popełnił — ja im wydałem własnego syna, a te katy, ci ciemiężcy, nie chcą mi go uwolnić! zabity jestem! zabity!

Muszyniec spuścił głowę, zrobił minę kwaśną i machnął ręką w powietrzu.

— Toś ty miał syna, rzekł, i takiego co już spiskował! A to historia! jeszcze podobnie jak żyję nie słyszałem. Cóż myślisz począć?

— Padałem im do nóg, pełzałem po ziemi, płakałem, nic nie pomogło! Żona leży jak martwa pod cytadela, sam nie wiem co począć; jak nic nie poradzę, to w łeb sobie strzelę.

— Eh! to znowu głupstwo, rzekł z rezygnacją pijaka Muszyniec. Powiedz mi, na co się to komu kiedy zdało, mózg sobie w powietrze wysadzić? operacja niewygodna a skutek żaden! Poczekajno, pogadamy o tem, ale w ulicy rozprawiać nie do rzeczy; wiesz co, chodźmy gdzie do szynku?

Presler głową tylko kiwnął, i zawrócili się milczący na ulicę Freta gdzie Muszyniec miał dobrego znajomego w gospodarzu małego billardku nie opodal od Dominikańskiego kościoła. Mając wzgląd na smutne położenie Preslera, Muszyniec wziął traktament na swój rachunek, kazał podać chleba, soli, wódki, a widząc jak zgłodzony towarzysz ze zwierzęcą bezprzytomnością rzucił się na jadło, mrugnął aby przyniesiono serdelków i gdy usiedli za stołem począł wypytywać.

Presler był w tem usposobieniu potrzebującym wywnętrzenia które otwiera usta i serce.

Mówił, skarżył się, płakał, nie mogąc uspokoić.

— Paskudny interes, rzekł wysłuchawszy go długo Muszyniec; ale jak ty sobie w leb strzelisz, czego wcale nie aprobuję, jak twoja żona zwaryjuje, co to synowi pomoże? Wiedzisz moje kochanie jak na człowieka taki kamień spadnie, potrzeba się zimnej wody napić i pójść do głowy po rozum a do serca po chytróść. Mówiąc między nami, z temi durniami moskalami byle kto umiał zawsze sobie można poradzić, bywają oni sprytni, ale parę razy zawsze ich oszukać można, byle coraz inaczej; zresztą mało którego nie przekupisz to tem to owem. Tu trzeba coś radzić. Z naszym naczelnikiem niema co i gadać, bo to tak jakbyś mnie prosił żebym tobie syna uwolnił. Z jenerałem jużście się kuliakami w twarz całowali, nie ma tam po co drugi raz zaglądać, ale są jeszcze protekcyje, sposoby, drogi, a naostatku choćby też twój syn powędrował do Moskwy? to jeżeli ładny chłopiec, gotów się tam jeszcze z jaką kniahinią ożenić i nie ma czego karku kręcić!!

— Nie mów mi tego, odparł Presler, ja go uwolnić muszę, choćby mi przyszło własnym życiem przypłacić, bez niego mi ono nie mile.

Muszyniec głową pokręcił, i obejrzał się w około.

— Masz ty jaki grosz? spytał.

Presler ruszył tylko ramionami, próżne pokazując ręce.

— Koszulę na grzbiecie i buty dziurawe na nogach, ot całe moje mienie.

— To źle, rzekł Muszyniec, u nich darmo nic!

Piekielna myśl jak błyskawica przeszła po głowie Preslera, tam gdzie ani on, ani biedna jego żona nic wymodlić nie mogli, któż wie, czyby ładna młoda Rózia wyprosić co dla brata nie potrafiła? Los tego dziecięcia mało obchodził Preslera, spoglądał on na nie dawno z rezygnacją człowieka, który wie że takiej pięknej twarzyczce za kilka chwil uśmiechu latami łez i upokorzenia płacić potrzeba. Ani wychowanie, ani położenie nie mogły obronić tego dziewczęcia od prawie pewnej zaguby. Niestety! tak rozumował własny jój ojciec.

Szatański pomysł narażenia córki dla wyratowania syna wytrysnął z tych słów Muszyńca: *U nich nic darmo.*

Po głębokim zamyśleniu Preslera domyślny jego towarzysz poznał zaraz że mu przez głowę coś przelecieć musiało.

— Co ty tam sumujesz? rzekł. Gadaj no, gadaj, wierz mi, ty sam teraz nic dobrego nie wymyślisz, trzeba się radzić.

Ale Preslerowi wstyd się było przyznać do tego rozpaczliwego projektu. Muszyniec z milczenia odgadł o co chodziło.

— Macie więcej dzieci! zapytał z uśmiechem, może ładną córeczkę? he? Gdyby tak było, jabym ci dobrą drogę wskazał, przez Namiestnikowskiego adjutanta kniazia Szkurina. Te bałwany moskale, u których, wyjąwszy wielkich panów, lud pospolity ma twarze małpnie a nogi wielbłądzie, bardzo są łasi na piękne twarzyczki. Nasza prosta dziewczyna mogłaby u nich siedzieć w najpierwszym salonie. Ja wiem że to takiemu sercu ojcowskiemu trudno o podobnej rzeczy pomyśleć, ale co się jój ma złego stać? jak syna uwolnią, córkę zachowasz i figę pokażesz. Cóż oni ci zrobią?

Po chwilce namysłu, Presler spytał.

— A gdzie ten adjutant mieszka?

Muszyniec z politowaniem spojrział na niego i tak mu się jakoś gorzko zrobiło pomyślawszy o własnych dzieciach, że dopiwszy kieliszka wódki i powiedziawszy z niechęcią adres adjutanta zerwał nagle posiedzenie, które z taką bezwstydną sam rozpoczął. Presler którego jadło i wódka rozogniły tylko jeszcze bardziej, wprost pociągnął do domu.

Piękna postać młodej dziewczeczki przesunęła się nam tak żeśmy o niej nic powiedzieć nie mogli, ni się jęj bliżej przypatrzeć. Powiedzmy teraz słówko o niej, nim biedna na scenę wystąpi.

Dom Preslerów jakimeśmy go widzieli nie był tem gniazdem spokojnem na którego miękkim puchu wyrastają szczęśliwe istoty, wypieszczone z dzieciństwa do łatwego życia. Ojciec był w nim postacią najmniej czynną, rzadko widzianą, rozsiewającą strach lub obrzydzenie. Matka charakteru gwałtownego, ale złamanego przeciwnościami troskała się o chleb powszedni i o chleb ducha dla dzieci. Serce jęj przywiązało się szczególnie do syna, nie zaniedbało jednak zupełnie i córki. Nie mogła dać Rózi świetnego wychowania, ale jęj dała poczciwe, resztę Bóg rzucił w to serce które godne było bić obok braterskiej piersi Juljana.

Juljan kochał ją bardzo i co w skromnej pensyi klasztornej pobożne rozpoczęły kobiety, tego on dokończył dając jęj książki, ucząc ją słowem i przykładem. Trochę opuszczona przez rodziców Rózia w ciszy, potajemnie uczyła się, pracowała, kształciła. Przy powierzchowności bardzo prostej, przy fizjonomii dziecięcia była to już głową i sercem kobieta, mężna, zastanawiająca się i dojrziała pod skwarem ubóstwa i niedoli. Prócz Juljana mało kto ją znał i ocenić mógł w domu. Nikt się nie domyślał że to potulne dziewczątko po nocach czytało *Dziewicę Orleańską* Libelta i *Poezye* Mickiewicza.

Rózia z równą troskliwością tała się z tem co umiała jak drudzy chwałę z tego czego nie umieją. Jak Juljan tak ona w towarzystwie rówieśników i młodzieży zaczerpnęła tę gorącą miłość kraju, na wszelkie poświęcenia gotową, która jest szczęśliwą gdy się czynem okazać może.

Rodzina Preslerów taka jak ją malujemy nie jest wcale fantazyi naszej wymysłem; wszyscy co przez te czasy żyli w Warszawie, co się społeczeństwu naszemu z bliska a uważnie przypatrzyli, przyznają że takich rodzin których ojcowie służyli gorliwie rządowi, a dzieci poświęcały się dla kraju, było i jest tysiące. Nawet w tych domach, w których ojcowie i matki najgorsze dawali przykłady, dzieci rosły wyciągając ręce ku męczeństwu jakby za grzechy ich odpokutować pragnęły. Widzieliśmy synów policyantów idących na Sybir w kajdanach, żony urzędników policyjnych więzione za spiski. Jak w atmosferze ciepłej wszystko, nawet kamień, się rozgrzewa, tak w tym upale patryotyzmu ocieplały się serca i rozmiękczały najtwardsze dusze.

Przyszedłszy do domu Presler, jak pierwszą razą, zastał Rózię płaczącą w oknie, chciała ona biedz szukać matki, ale nie wiedziała dokąd poszła. Kazano jęj siedzieć i czekać, musiała więc w opustoszożonym domu sama pozostać z myślami czarnymi. Gdy pierwszy raz przyszedł ojciec, nie odważyła się go spytać o nic. Presler bowiem rzadko bardzo z nią mówił i do niej się przybliżał, można powiedzieć że obawiając się go bardzo, mało go znała.

Opanowany tą myślą szatańską użycia Rózi za narzędzie do uwolnienia syna Presler spojrzawszy na nią, na tę twarzyczkę aniolka z zapłakanemi oczyma, poczuł jak mu się ścisnęło serce i zamknęły usta. Nie śmiał do niej z razu przemówić, długo potrzebował chodzić, namyślać się, nabierać odwagi, nim do niej potrafił się odezwać. —

— Słuchaj no, rzekł na ostatku, stając nagle przed dziewczęciami które strwożone wlepiło weń oczy, ty wiesz że twego brata wzięto... próżno ja, próżno matka chodziliśmy prosić za nim, nic nie pomaga — słuchaj — możebyś ty była szczęśliwsza?...

Tu mu głosu zabrakło, spuścił głowę. —

Rózia oblała się całą rumieńcem, zakryła sobie oczy, nie była już dziecięciem i strasznych tych kilku wyrazów pojęła groźne znaczenie. Oburzenie poruszyło jęj piersią, ale zarazem miłość serdeczna dla brata, wyxaltowała ją do heroizmu. Myśl szybka jak piorun w jęj młodej głowce osnuła cały plan straszego dramatu.

Presler czekał odpowiedzi, ale się na nią nie rychło zdobyła, a głos którym mu odpowiedziała był tak śmiały, tak ognisty, że stary uląkł się go prawie.

— Dobrze ojczy, rzekła, pójdę, a jeśli Bóg dozwoli, uratujemy Juljana.

Ojciec który się spodziewał wahania, oporu, płaczu, nie pojął własnego dziecka. —

— Poszłabyś zaraz? zapytał. —

— Nie, odpowiedziała Rózia, jutro, — jutro, — pójdziemy. —

W istocie pora była za późna, słońce zachodziło, a Różia która w jednej chwili z dziecka przeistoczyła się na bohaterkę, miała jeszcze wiele do czynienia przed tym stanowczym krokiem.

Młodość tylko umie tak szybko bez długich rozmyślań znaleźć instynktem drogę którą jej raczej uczucie niż rozumowanie wskazuje. Wszystko się składało na to, aby projekt Rózi uczynić możliwym. Zrozumiała ona że ma się podobać, uwieść, zawrócić głowę. — Chciała być Judytą dla tego Holofernesa nieznanego, któremu miała być poświęconą; młode jej serduszko biło już od dawna dla pocziwego chłopaka jednego z tych synów Warszawy, którego znała od dzieciństwa.

Młody chłopak nie mogąc na lekarza, usposobił się był na farmaceutę i zajmował miejsce drugiego subiekta w jednej z aptek na Krakowskim przedmieściu. Różia nie zastanawiając się postanowiła wyprosić u niego — truciznę. Miała ona służyć dla niej samej lub dla tego któryby z jej nieszczęśliwego położenia chciał korzystać...

Gdy Presler otrzymawszy od niej obietnicę towarzyszenia mu nazajutrz wywłókł się znowu z domu nie mogąc w nim usiedzieć, Różia natychmiast porwała skromny kapelusik i czarną mantylkę, przykazała Kachnie pozostać w domu, a sama jak strzała pobięła do apteki.

Po drodze dopiero przyszło jej na myśl że trucizna nie tak się łatwo daje temu kto ją mieć zechce, że przed Kaziem trzeba się będzie wytłumaczyć ze wszystkiego, że on może albo nie będzie mógł, albo się zleknie, albo nie potrafi wypełnić jej żądania. Ale raz postanowiwszy sobie uzbroić się tym orężem Różia spuściła się na opatrność że ją wesprzeć była powinna.

Otworzyła nieśmiało drzwi apteki, spojrzała w głąb — szczęściem Kaźmierz był sam jeden, ale jak tu począć rozmowę!

Zobaczywszy ją chłopak poskoczył żywo, bo wiedział o losie Juljana, a z zapłakanych oczów łatwo się było domyślić wielkiego nieszczęścia...

— Mój Boże, zawołał, czy kto w domu nie chory? Powiedz mi moja droga? Może ja wam być mogę pomocnym! mów, rozkazuj!

— Wiesz o Juljanie?

— A! wiem...

— Wiesz więc wszystko; ale ja mam wielką, wielką prośbę do ciebie. — I dziewczę podało mu rączkę wlepiając weń niebieskie swe błagające oczy. —

— Kaziu, mój drogi, jeśli ty mnie kochasz, zrób o co cię prosić będę, przysiąż!!

— Czyż możesz mnie prosić, czy potrzebujesz przysięgi? Zrobię co tylko mogę, choćby życie dać przyszło!

— A gdyby przyszło odebrać? spytała Różia wpatrując się w niego — i powoli po jednym rzucając wyrazy.

— Żeby ciebie uratować?

— Tak...

Po chwilce milczenia Różia przybliżyła się i szepnęła mu na ucho:

— Daj mi — mocnej, mocnej, okropnej trucizny, koniecznie jej potrzebuję... Kaziu! nie odmów!

Kaziu osłupiał.

— Trucizny? spytał po chwili wpatrując się w nią, tobie? na co??

— Na co? Ja ci powiedzieć nie mogę, ale ci przysięgam, zaręczam, zaklinam się na miłość naszą, że ona dla mego wybawienia jest potrzebna!

— Dla twego wybawienia? cóż ci grozi?

— Ale ja ci nic mówić nie mogę! Czy znasz mnie? Czy mi wierzysz??

— Znam cię i wierzę ci, mój aniele drogi, ale i ty powinnaś mnie znać, powinnaś mi wierzyć! Na cóż te między nami tajemnice?

Dziewcze mocno się zafrasowało, ale Kaźmierz skłopotany tak nalegał, że mu w końcu wyznać musiała wszystko.

— Ojciec prowadzi mnie z sobą do jakiegoś jenerała, ty znasz tych okrutników, cóż u nich może prośba takiej biednej jak ja dziewczyny? Ojciec ma słuszność że mnie chce dla ocalenia Julka poświęcić, oswobodzę go, ale tego niegodziwca którego mój uśmiech przepłukał, struć muszę, aby ręka jego mojej dłoni dotknąć nie śmiała.

Każmierz widząc zapal, z jakim to mówiła, zbladł ale ukląkł przed nią, tak go tym heroizmem uniosła. Korzystając z jego wzruszenia Rózia gwałtownie domagała się trucizny. Jakże ją było powierzyć w ręce tego piętnastoletniego dziecięcia, oszalałego bólem prawie do rozpacz! Mogła jej użyć w chwili jakiegó obawy bezprzyczynnej przeciwko sobie samej, mogła zresztą wydać się niezręcznością i zgubić. Każmierz sam nie wiedział co robić, ale miękł i w miarę jak nalegała nań, uczuciem jej dał się ogarnąć.

— Przysiężże mi, rzekł, że w żadnym razie nie użyjesz trucizny dla siebie! Ja będę na straży. Jeżeli przyjdzie do ostateczności a Juljan będzie już wolnym, rzucam aptekę, zabieram ciebie, mam księdza który nam ślub da i uciekniemy w Augustowskie... do mojej rodziny...

Długo jeszcze szeptali z sobą i nikt im jakoś rozmowy nie przerwał. W końcu choć z wielką obawą Każmierz dobył Strichniny, zamknął jej małą ilość w flaszeczce która z łatwością pod rękawiczką na dłoni ukryć się mogła; a Rózia z wielką radością wybiegła do domu z strasznym tym orężem.

W tej chwili, do której powieść nasza należy, usposobienia moskali nie były jeszcze tak rozpaczliwie bezwstydne jak są dzisiaj. Dbali oni cokolwiek o opinię Europy która ich jeszcze bezwarunkowo nie potępiła, udawali ludzi cywilizowanych choć niezręcznie. Ta sztuczna agitacja która pod pozorem patriotyzmu wyrobiła w Rosyi zaparcie się wszystkich uczuć poczciwych i szlachtetnych, prześladowanie uczyniła systemem, okrucieństwo prawem, nieposzanowanie niczego, prawidłem tej wojny bezprzykładnej — agitacja ta, którą zrodziło dziennikarstwo i gorliwość bióralistów, jeszcze naówczas nie istniała. Moskwa pochlebając sobie że zagodzi ten spór którego nie rozumiała ważności, obchodziła się z nami po cichu ze swem zwyczajnem okrucieństwem, powierzchownie z zachowaniem pewnych form prawnych. Udawano na przykład, choć niezręcznie, że miano oddać pod sąd tego generała który pierwszy strzelił do bezbronnego ludu, zaprzeczano potrzaskaniu krzyża i znieważeniu duchownych, ale po cichu w naradach na zamku żalowano że za mało ludzi padło i że w pierwszej chwili silniejszych jeszcze nie użyto środków. To ogólne usposobienie i w doborze ludzi się wydawało, brano takich którzy pazurki pochować umieli, glansowane na nie kładnąc rękawiczki. Książ Szkurin adjutant namiestnika pięknie wychowany człowiek, znany ze swych zasad liberalnych, mówił prawie głośno po salonach o Mikołajowskim despotyzmie, przyznawał nawet Polsce pewne prawa, ale chciał tylko aby się zdała na wspaniałomyślność cara.

Był to człowiek lat około czterdziestu, dobrze zużyty Petersburską rozpustą i klimatem, elegant, zawsze wyperfumowany, co go dozwalało posądzać że potajemnie śmierdział, wielki kobiet wielbiciel i amator szampańskiego wina które gotów był zacząć pić przed zupą. Był to jeden z tych ludzi, jak większa część tegoczesnych mebli, fornirowanych i wygładzonych po wierzchu, w środku spruchniały i z lada jakiego drzewa. Wychowanie które odebrał ukształciło w nim tylko zewnętrznego człowieka, środek pozostał nietknięty.

W skórze francuza był to dziki tatar wstrzymywany od zupełnego wyuzdania pewnymi względami towarzyskimi, ale potajemnie nie znający ani żadnego prawa moralnego ani namiętności hamulca. Z głową pustą był to wszakże w salonach człowiek bardzo przyjemny, szczególnieji dowcipny i zawsze pełen najwyśmienitszego humoru. Żartował sobie ze wszystkiego, ze wszystkich, czasem z siebie a dla kalamburu i popisu z konceptem gotów był rodzonego ojca i matkę poświęcić. Słynął też jako biesiadnik bardzo przyjemny i kobiety go sobie wrywały — (rozumie się nie polki które się na jego przymiotach poznać nie umiały) ale moskiewki i te mieszańce, półniemki, półrosjanki, pół niby polki których kosmopolityzm pokrywał bezdusność. Utrzymywano że książ miał dosyć wpływu na namiestnika dzieląc go z pewnym wysokim urzędnikiem którego raptowne wyniesienie się wszystkich nie pomału zadziwiała. Książ Szkurin nie był majątny, wprawdzie wspominał o swych duszach w Penzewskiej gubernii, ale duszom tym podobno ciała brakło.

Lubił żyć, z łatwością robił długi, z trudnością je płacił, i mówiono po cichu że w pewnych wypadkach gładko podsunięte bierał pieniądze. To pewna że, chociaż stanowisko

jego urzędowe żadnej mu bezpośredniej władzy nie dawało, przedpokój jego, oprócz wierzycieli, pełen był zawsze najrozmaitszych interesantów (wyraz warszawski). Służba księcia składająca się z jednego czerkiesa, jednego żołnierza i gatunku lokaja cały dzień była zajęta wypychaniem tych którym się należały pieniądze, a układami sekretnymi z tymi którzy je dawali. Często nieszczęśliwi przybysze przepędzali tu dzień cały w smrodliwej izdebce wystawieni na pośmiewisko tej gawiedzi, bo do kniazia nie tak łatwo było przystąpić. Jak wszyscy prawie półdzyki ludzie, w dodatku do innych zwierzęcych namiętności, miał on passyą gry, często do białego rana siedział za zielonym stołem, kładł się spać gdy inni wstają, spał potem, jeśli nie był na służbie, do godziny obiadowej. W domu też bardzo rzadko zastać było go można.

Do tego to człowieka zrozpaczony Presler wszedł nazajutrz rano Rózię wiodąc z sobą; dziewczę było przystrojone w najświeższe ze swych ubogich sukienek; widocznie chciało być ładnem, ale twarz jej miała wyraz tak dziwny, że człowiek z uczuciem byłby się nim przeraził.

Ten wyraz który się rzadko spotyka na dziewiczym obliczu, tem mocniej od niego odbijał jakby szata która dlań zrobioną nie była. Smutek i wesele, te dwa krańcowe wyrazy w szeregu uczuć ludzkich, w młodości malują się ostro i wyraźnie na twarzach które często w jednej godzinie obu sięgają granic. Tych odcieni uczuć które później lata urozmaicają oblicze ludzkie, młodość prawie nie zna. Na twarzyczce Rózi nie było ani wybitnego smutku, ani żadnego jasno wypisanego wyrazu, coby się jednym słowem określić dawał; w rysach prawie dziecięcych jaśniała powaga, zamyślenie i jakby duma człowieka który się gotuje do spełnienia wielkiego czynu. Oczy jej niekiedy zachodziły łezką ale ją jakiś ogień wewnętrzny osuszał, była może piękniejszą niż kiedy, ale tą pięknnością jaką przyobleka czasem twarze umierających lub idących na rusztowanie. Widziałeś patrząc na nią że płochę myśli z jej główki uleciały, że serce nie było przelotnem uczuciem, że szła do wielkiego jakiegoś celu, który ją unosił i zolbrzymiał. — Ta piękna postać, przed którą zdumiałby się artysta i pokłękł poeta, odbijała straszliwą sprzecznością od stéranego ze znamieniem podłości na czole wlokącego się za nią Preslera. Wydawał się on przy niej, jak szatan czychający na duszę czystą, z wzrokiem w ziemię spuszczonej, szedł wstydzając się sam siebie, szedł i nasuwając kapelusz na oczy, zdawał obawiać aby go ludzie nie widzieli.

Wnijscie tej dziwnej pary do przedpokoju kniazia wedle zwyczaju przepelnionego najprostokatszym tłumem obudziło niezmierną ciekawość. Czerkies, żołnierz i lokaj stanęli przypatrując się tej niewinnej ofierze której młode lice wstyd krwią oblewał, szepty, śmiechy, szyderstwa, półsłówka były pierwszymi razami męczeństwa, które biedne dziewczę znieść musiało.

Presler przywykły do upokorzenia, którego podobne przyjęcie było chlebem powszednim, nie umiał ani jej obronić ani nawet poczuć tego co ona doznawała. Z kolei każdy ze służby zbliżał się do Preslera, wlepił w Rózię oczy bezwstydnym i tym wzrokiem ohydny, który bywa obelgą, przeszywał niewinne dziewczę. — Potrzeba było jednak nie mając pieniędzy pokorą rozbroić tych stróżów drzwi pańskich, których łaska mogła je otworzyć a gniew zamknąć. Inni interesanci, gawiedź najrozmaitsza, przypatrywali się także urągłiwie Preslerowi i Rózi.

Nad przedpokoje tego rodzaju, w których często człowiek godną piekiel przebywa godzinę, nie ma może w świecie przykrzejszej próby cierpliwości. W nich to ubodzy często czerpią tę nienawiść ku możliwym i wyżej położonym która później staje się całego ich życia przemagającym uczuciem. Kto nie czekał u przedpokoju urzędnika lub wielkiego pana, zmiłowania jego służby, ten jeszcze nie doznał rodzaju upokorzenia może najdotkliwszego. Cóż dopiero gdy dwa lub trzy razy trzeba przejść przez te ognie aby dostąpić do Jowiszowego oblicza które cię zbywa nic nie znaczącym ogólnikiem. Służący, który o godzinie dziesiątej poniósł panu czaj, widać mu coś powiedział o ładnem dziewczęciu, bo zaraz po jakimś panu bardzo poważnym który pierwszy otrzymał posłuchanie, wpuszczono Preslera i Rózię.

Kniaz był jeszcze w rannym szlafrocuku i nieurzędowym stroju; wyłysiała jego głowa świeżo wyszczotkowana, wąs wysuwaksowany przed chwilą nie mogły odświeżyć twarzy zwiędłej, bladej, na której już marszczki plan przyszłego zburzenia, delikatnie pozarysowywały.

Presler zaczął od tego że mu padł do nóg, a Rózia wlepiła węń niebieskie swe pełne wyrazu oczy, których wejrzeniu oprzec się nie było podobna. —

Kniaź, który nibyto mówił po polsku, i bardzo się swoją polszczyzną chwalić lubił, kazał sobie opowiedzieć całą historią; ale nie tyle jęj słuchał, ile się milczącej Rózi przyglądał.

To wejrzenie zbojeckie zepsutego człowieka obudzało w nięj wstręt nieopisany; gdyby była mogła, byłaby odeń na koniec świata uciekła, ale uczucie obowiązku wstrzymywało ją na miejscu. Książ nie wiele zważając na Preslera, dla Rózi szczególną okazywał grzeczność, co ją jeszcze bardziej gniewało. Sam przysunął jęj krzeselko, a ponieważ pił właśnie herbatę chciał jęj nawet służyć szklanką tego napoju.

Naturalnie Rózia i krzesła i herbaty odmówiła, ale z przebiegłością kobiecą czując swoją siłę oczyma doprowadziła moskala prawie do zapomnienia się.

Nigdy jeszcze książ ani w salonach Piotrowego grodu, ani pomiędzy cygankami moskiewskimi, ani za kulisami europejskich teatrów, tak świeżego wiosennego kwiatka nie spotkał; sama myśl że to bezbronne ubogie dziewczę mógł usidlić, głowę mu zawracała.

Oto by dopiero była zazdrość pomiędzy towarzyszami, dla których najstarsze matrony baletu warszawskiego, jeszcze były nieprzewycięzoną pokusą i ideałem!

Gdy Presler skończył mówić, książ tak dobrze jak nic nie wiedział, o co chodziło, domyślał się tylko że go proszono o czyjś uwolnienie, i obyczajem moskiewskim kazał Preslerowi podać sobie *zapiskę*.

Idąc na to posłuchanie stary, który znał dobrze formy, już ją był zawczasu przygotował; omylił się więc w swych rachubach książ sądząc że mu ją drugi raz ojciec z córką przyniesie. Ale samo przyjście Rózi było wielkiego znaczenia. Moskal zrozumiał je i kazał przyjść Rózi nazajutrz po odpowiedzi.

Zaczerwieniła się biedna, obelżywy ten rozkaz usłyszawszy, ale postanowiła do dna wypić kielich goryczy i w rękę ścisnęła tę flaszeczkę, w której jęj zemsta spoczywała. — Presler jeszcze raz schylił mu się aż do nóg, ale książ zamiast go podnieść podał Rózi rękę. Szczęściem że odpowiadając na to pożegnanie dziewczę miało przytomność wysunąć dłoń, w której owęj flaszeczki tajemniczej nie było, inaczej któż wie. Książ by był może ją poczuł, znalezioneby truciznę, i Bóg wie jaki los mógł czekać biedną Rózię.

Gdy po półgodzinnej rozmowie wyszli ztąd nareszcie, Presler szepnął tylko córce, ażeby wróciła do domu, a sam nie mogąc w miejscu usiedzieć chciał pójść pod cytadelę, aby się o żonę dowiedzieć. Rózia go za rękę wstrzymała.

— Ojczy, rzekła, przyjdźcież po mnie, bo ja tam sama jutro nie pójdę.

Spojrzał na nią dziwnie, kiwnął tylko głową i tak się rozstali.

On powlókł się pod cytadelę, a jęj pilno było całą historią tęg wycieczki opowiedzieć Kaźmierzowi. Pospieszyła więc do apteki, bo czuła że tam na nią niespokojnie oczekiwano. Zdala już zobaczyła Kaźmierzera stojącego w progu z oczyma wlepionemi w stronę ku zamkowi.

Nie powtórzym tęg rozmowy, bobyśmy może nie potrafili w całej jęj prawdzie, z całą jęj dziwaczością wypowiedzieć.

Miłość mieszała się w nięj z okropnością, trucizna z marzeniami o szczęściu, sielanka z tragedją. Były tam łzy i uśmiechy, oburzenia i nadzieje, śmierć, zbrodnia, heroizm, a przytem dużo, dużo niedoświadczenia i dzieciństwa.

Gdy się to dzieje, Presler tymczasem powlókł się pod twierdzę, próżno dopytując o żonę, żołnierze wyszturchali go, wyśmiali i nic mu nie powiedzieli o nięj. Cały dzień spędził tak na ulicach, po szynkach, dwa razy zajrzał do domu, z którego zgrzyzota go wyгнаła.

W tym stanie ducha człowiek albo kamieniem nieruchomym leży albo gorączkowo lata, nigdzie się na miejscu utrzymać nie mogąc.

Nazajutrz rano Rózia wystrojona, z twarzą zaognioną od łez, marzeń i całonocnej bezsenności była daleko wcześniej gotową, niżeli nadszedł ojciec. — Razem z nim w milczeniu poszli znowu przez ten przedpokój ohydny, do tego człowieka, na którego zepsuciu ostatnie ojca spoczywały nadzieje.

Wpuszczono ich natychmiast, książ był niesłychanie grzeczny, ale widocznie zakłopotany. Nie odbierając całkiem nadziei, nic wszakże nie przyrzekał. Z bałamutnych jego tłumaczeń widać było, że mu się starania nie powiodły, ale Rózia tak mu się podobała, że

przyrzekał jeszcze czynić co tylko możliwém będzie, aby los Juliana przynajmniej nieco osłodzić.

Dla Preslera, który znał Moskale, nie ulegało już wątpliwości, iż z tego wszystkiego na tój drodze nic już być nie może. Napróżno więc tylko wystawił swe dziecię na pośmiewisko a siebie na pogardę.

Kniaź niby coś jeszcze obiecując zażądał adresu Preslerów i skrzętnie go sobie zapisał.

Różia wyszła tą razą jakoś smutna i szczęśliwa, nie wiedząc sama, co się w jój duszy działo; czuła się ocaloną a całe jój bohaterstwo zostało tylko jakby sennem marzeniem. Poszła znowu wypowiadać się Kaźmierzowi nie sądząc, aby wzięty przez kniazia adres na jakie ją jeszcze niebezpieczeństwo mógł narazić.

Była już późna poobiednia godzina gdy kniaź, który zwykle jadał w Angielskim hotelu, dobrze napiły wyszedł uśmiechając się sam do siebie i chciał pierwszą jadącą Wierzbową ulicą dorożkę zatrzymać na swój użytek, ale woźnica patryota pokazał mu język i figę, a sam dalej cwałem poleciał. Szczęściem konie go szybko uniosły, boby inaczej niezawodnie go pod sąd wojenny oddano. Że zaś każdy moskiewski oficer wedle katechizmu o czci monarszej przedstawia jakąś część prawej władzy, dorożkarz mógł być skazany do kopalni, jeśli nie na powieszenie dla przykładu. Kniaź zdumiony obelgą, która go spotkała, poszedł pieszo. Wzięło mu trochę czasu postaranie się o drugą dorożkę której woźnica dostał od niego w kark za przewinienie swojego towarzysza; pojechali z nim potem do Hozera, gdzie kniaź kupił dosyć ładny bukiet, wstąpili do Contego po pudełeczko cukierków, naostatek skierowano się ku Dziekance.

Różia siedziała przy oknie wedle zwyczaju, ale choć trzymała robotę w ręku, pracować nie mogła, myśleć o bracie, którego tak kochała, o matce która znikła z domu bez wieści, naostatek o własnym losie chmurzyła jój czoło. Od dwóch dni pustka była w domu, wczoraj ostatnie się wyczerpały zapasy i nigdzie grosza, kupcom wszystkim się coś należało, nikt nie chciał dać na kredyt. Od rana nie było już całkiem co jeść ani nawet za co chleba kupić.

Kaźmierz byłby jój przyszedł na ratunek, ale wstyd jakiś ją ogarniał na samą myśl wyznania mu swego położenia. Od rana do wieczora prócz trochę wody, Różia nic w ustach nie miała, ojciec się na chwilę pokazał chmurny i zamyślony, nie chciała mu nawet o tem wspominać. Naradziwszy się z Kasią, która więcej jeszcze od niej rozpaczała, Różia posłała jedną z lepszych sukienek aby ją gdzie u żyda zastawić, ale Kachna wyszedłszy o południu dotąd jeszcze nie wrócił. Głód dokuczał coraz mocniej, chwilami robiło jój się słabo, potem gorąco i straszne paliło ją pragnienie. Woda którą piła zdawała się je rozżarzać nie gasić. W chwili gdy na służącą oczekiwała, otworzyły się powoli drzwi, głowa jakaś w nich pokazała, i ktoś wszedł do pokoju.

Różia postrzegła tylko mundur i przelekła się, sądząc że w mieszkaniu Juliana robić będą rewizyą, ale w chwili gdy ta myśl po jój główce przebiegła, poznała w zbliżającym się kniazia z bukietem w ręku i pudełkiem cukierków. — Moskał rozglądał się ciekawie po mieszkaniu, widocznie go to radowało, że Rózię zastał samą. Nie robiąc ceremonii położył jój bukiet i cukierki na kolanach, a sam przysunąwszy sobie krzesło zabierał się do rozmowy, gdy przestraszone dziewczę, upuściwszy dary na ziemię, wyskoczyło na środek pokoju. Podpiły jegomość porwał się aby za nią gonić starając się łagodnymi słowy przestrach jój ukolysać, gdy drzwi się na nowo otwarły i stary Presler wpadł jak burza. Widać było na jego twarzy jakąś wściekłość i szal rozpaczliwy, ręce mu się trzęsły, wargi drżały, oczy miał krwawe, brwi zmarszczone. Kniaź mógł go nie poznać, tak różny to był dziś człowiek od tego który wczoraj u kolan jego leżał.

Od progu zobaczywszy Moskała który gonił za jego córką rzucił się na niego z szalem drapieżnego zwierzęcia, przyskoczył, porwał za piersi i obalił na ziemię.

Kniaź niespodzianie schwytny wcale się nie bronił. Presler nasiadł mu na pierś, przytłoczył ją kolanem i strasznym śmiechem szyderskim rozśmiał się nad jego głową.

— Ha! zawołał, mam cię! mam choć jednego z was, żebym moją zemstę nasycił. Darłbym cię zębami, psie jakiś, tak mi się krwi chce twojej. Za siebie, za syna, za żonę, za

córkę ty mi zapłacisz! Wyście to nas spodlili, każde wasze dotknięcie płamą na nas zostało, gdzie który z was stąpił wytrysło błoto! Nie dość wam było szarzać nas starych, musieliście wypić krew młodą, pohańbić kobiety nasze, zatruć powietrze, którym oddychamy! Niech mnie zabiją, ale niech ja choć jednego z was zamorduję!...

Ta zakąska po szampańskim winie, w chwili gdy się do romansów zabierała, tak kniazia zaskoczyła niespodzianie że w pierwszej chwili o mało nie padł ofiarą rozjuszonego ojca. Ale zduszony silnie za gardło, przywiedziony do rozpaczycy począł się wreszcie bronić, był młodszy i silniejszy, niebezpieczeństwo dodawało mu energii, zrzucił więc Preslera z siebie, a przemógłszy go począł okładać razami.

Nie można przewidzieć, na czemby się ta walka skończyła, gdyby przypadkowo nadchodzący Kaźmierz nie przypadł na obronę ojcu Rózi. Oficer widząc znowu niebezpieczeństwo, okładany razami i ścigany jak złodziej uciekł, nie wiedząc jak wschody przeleciał, wpadł do czekającej dorożki i umknął.

Presler bez kapelusza jakby wpół oszalały pogonił za nim ulicą. Co się z nim do późnego wieczora działo, nikt nie wiedział.

Już pod noc wybladły zgrzytając zębami i drżąc od gorączki wszedł do bilardu pani Szymonowej i znużony rzucił się na kanapę. Ci co go często widywali pijanym, posadzili z razu o upicie, ale gdy jęczył i płakać zaczął, Kuźma który się tam przypadkiem znajdował podszedł litościwie ku niemu.

— Co ci to jest poruczniku? zapytał.

— Co mi jest? ty nie wiesz? Chce mi się krwi moskiewskiej albo oni niech moją wypiją, albo ja jęj skosztować muszę.

— Co waćpanu takiego? na Boga! nie krzyczże tak!

— Albo ja się czego jeszcze boję? Nie mam już nic prócz życia do stracenia, a to bym dał chętnie żeby się pomścić nad nimi. Syna mi wzięli te katy! Córkę mi chcieli zbzcześcić! Myśleli że już tak plugawy i bezsilny że mnie zgnieść można bezkarnie. Ale gdy się już tylko życie zostanie, człowiek je sprzedaje drogo! Miałem już jednego z nich w rękę, i ten mi się wysliznął...

Gdy tak mówił z gwałtownością wielką, tchu mu zabrakło i znowu rzucił się płacząc na kanapę. Kuźmie na widok téj rozpaczycy włosy stawały na głowie, ale dobrze nie mógł zrozumieć całej historii Preslera. Nie podobna go było posadzić o podstępne udawanie, bo taka boleść wynaśladować się nie da.

Przyszło mu wreszcie na myśl że rozjuszony ów człowiek mógłby się na co przydać młodzieży. Stary szpieg w tem usposobieniu mógł wiele rzeczy wygadać, na wiele dróg naprowadzić. Zasiadł więc przy nim, począł go pocieszać, uspokajać, i rozpytywać.

Czy ten głos przyjazny i litościwy, czy znużenie długie, ostudziły nieco Preslera, usiadł i płacząc ciągle jął się spowiadać przed stolarzem.

— Nędza, namowy tych łotrów, próżniactwo, rzekł bijąc się w piersi, wciągnęły mnie w to piekło, którego dziś padam ofiarą; winienem prawda, wyznaję, spodliłem się, gubiłem ludzi, ale też sam ginę jak oni. Jednego miałem syna, któregom nad życie kochał, i samem przyprowadził oprawców aby go schwycili wraz z innymi; pełzałem im po nogach, żeby go uwolnić, odepchnęli mnie z szyderstwem. Wczoraj poradził mi niegodziwiec jakiś, abym szedł z córką żebrac jeszcze ich litości, a dziś przed kilką godzinami gdy powracałem od namiestnika, który wręcz prośbie mojej odmówił, zastałem w domu u siebie moskala który córkę moją napadł. Miałem go już w moich rękach, wyrwał mi się, ale nie on, to drugi odpokutować musi...

Długo tak jeszcze mówili z Kuźmą, aż się on dobrze przekonał o usposobieniu Preslera i szepnął mu nareszcie:

— Żal mi cię mój bracie, ale może jest jeszcze jeden ratunek. Udawałeś się do moskali, gdybyś spróbował uciec się do towarzyszków swego syna? do naszych? Przecież ich wszystkich razem nie wybrano!

— Tak! odrzekł smutnie Presler, jakże ja tam oczy przed nimi pokażę? oni pomyslą że przyszedł ich zdradzić, że wydam ich aby ocalić syna. Znają oni mnie i wiedzą kto jestem, stryczek, nie pomoc gotują dla mnie!

— Nie znasz ich, rzekł Kuźma, który się pocziwie po polsku i nieostrożnie po polsku z pełności serca wygadywał — litościwi to ludzie, choć nieraz muszą na śmierć osądzić i porwać się na życie. Jam prosty człowiek i dobrze tych rzeczy nie rozumiem, aleć kiedy

wolno moskałom bez sądu, bez prawa, bez obrony zabijać, wieszać i strzelać, czyżby nam nie godziło się bronić? Krzyczą że nasi zabijają po ulicach, niechże policzą ileśmy a ilu oni zabili? Nie obawiaj się, dodał Kuźma, a zresztą cóż masz do stracenia?

Presler któremu ta myśl utkwiała w głowie szepnął później na ucho:

— Zlituj się! jeżeli możesz, ratuj ty mnie!

— Siedź tu i nie ruszaj z miejsca, rzekł stolarz, ja zaraz powrócę.

Jakoż wybiegł natychmiast, a Preslerowi ten czas oczekiwania wydał się niezmiernie długim.

Nakoniec Kuźma powrócił, ale jakoś smutny i twarzą nie wiele dający nadziei.

— A cóż? spytał Presler.

— Chodź waćpan zemną... zobaczymy...

Nic nie mówiąc poszli oba, Kuźma wiódł go małymi uliczkami w głąb Starego miasta, potem grubą chustką oczy mu zawiązał i znowu prowadził jakby naumyślnie kręcąc w prawo i w lewo, aby porucznik nie domyślił się, dokąd idzie. Noc była ciemna, Presler o czym innym myślał, a nadzwyczajne te ostrożności wcale go nie zdziwiły. Po długich zwrotach w ulicach poczuł Presler, że weszli do jakiegoś gmachu, że otwierano kilkoro drzwi, potem zstępować było trzeba w dół po wschodach, a gdy mu oczy odsłonięto, ujrzał się w jakimś lochu bez okien ze ścianami nagimi w głębi mającym wielkie drzwi żelazne. — W pośrodku był prosty stółk zarzucony papierami, przy nim siedziało trzech młodych ludzi. —

Wszystkich oczy utkwione były w Preslera, który stał drżący jak winowajca przed sądem. Jeden z przytomnych rzucił pióro i przystąpił do niego.

— Nie potrzebujesz nam nic mówić, rzekł pokręcając węża — wiemy wszystko, życie twe było niegodziwe, lepiej było umrzeć z głodu, niż żywić się zdradą. —

Nie dokończył tych słów, gdy żelazne drzwi w głębi lochu otwarły się powoli i wszedł ksiądz w habicie jednego z zakonów Ś. Franciszka.

Postać to była łagodna, choć energiczna, twarz ożywiona czarnymi oczyma, ustami pełnym miłosierdzia uśmiechem, popatrzał na Preslera, coś poszeptał z młodymi ludźmi i zbliżył się do niego, z politowaniem widocznym.

— Widzisz, widzisz, moje dziecko, rzekł kładnąc mu rękę na ramieniu, do czego cię to zapomnienie o Bogu i świętych prawach jego przywiodło! Do zguby własnego dziecka, a kto wie czy nie dwojga twoich dzieci!

— Mój ojczy, odpowiedział Presler płacząc, litujcie się, ratujcie, ale nie dobijajcież mnie przypominając winę moją.

— Żałujesz za grzech, ukarany jesteś, Bóg zapewne przebaczył, i ludzie już tknąć cię nie powinni. — Sędzia sprawiedliwy wziął sam na siebie wyrok i jego wykonanie, pokój z tobą człowiecze.

— Bóg widzi, zawołał Presler, chciałbym złe naprawić, pytajcie mnie, powiem wam co tylko wiem, będę wam służył do zdechu! choćby i mnie powiesić mieli.

— Moje dziecko, rzekł ksiądz, bardzo to pięknie mówisz, ale obrachuj się z sumieniem, czy tego przez samą zemstę nie czynisz? Zemsta nie chrześcijańskim jest uczuciem; my nie mścić się na moskałach, ale bronić się od nich powinniśmy. Prześladowają świętą wiarę naszą, chcieliby nas spodlić i zepsuć, aby tem łatwiej ujarzmić; broniąc tego nieszczęśliwego kraju, bronim zarazem praw Boskich które oni depczą nogami...

Mówił, a Presler płakał, nakoniec po tej nauce moralnej zaczęto go wypytywać o rozmaite szczegóły o których dokładniejsza wiadomość mogła być przydatną.

Presler dostarczył jeżeli nie nadzwyczajnych objaśnień to wiele imion ludzi, którzy do tajnej policji należeli; wiele skazówek z których korzystać było można.

Rozmowa przeciągnęła się długo w noc, ale dla biednego Juljana żadnej mu nadziei dać nie było można. — Wyrwać go z ich szpon nikt nie mógł; ucieczka z cytadeli była prawie całkowicie niemożliwą, w podróży niezmiernie trudną. Upewniono tylko Preslera że synowi jego o ile możliwości starać się będą ciężki los osłodzić, że potrzeby jego zostaną zaspokojone, że będzie miał opiekę, a później, kto wie? może jakimkolwiek sposobem obmyślaną ucieczkę. —

Nie starczyło to Preslerowi który chciał syna widzieć koniecznie wolnym, ale ksiądz dodał w końcu:

— Pamiętaj, że to dziecię twoje Bóg wyznaczył może aby za grzechy ojcowskie odkupowało, jest młody, wielu od niego starszych, słabszych, zasłużeńszych. Bóg zadaje ci ranę ciężką, ale z jego ręki przyjąć ją potrzeba, bo też i winy wielkie były. —

Pocieszano go jak kto umiał, ale czemu są słowa w obec takiej boleści, którą tylko czyn skruszyć może, a czas osłabić?

Presler wyszedł z innym tylko smutkiem, ze zmienionem cierpieniem, przybity brzemieniem, na które mu sił nie stawało.

Po długich znowu przechodach w różnych kierunkach znalazł się, gdy mu oczy rozwiązano, przede drzwiami swego mieszkania.

Wszedł smutny na wschody i do izby, w której zastał tylko Kachnę siedzącą na ziemi i łzami zalaną. Rzuciła się ona ku niemu z opowiadaniem, że przed parą godzinami, policja wpadła do domu, że przetrząsniono wszystko, że w łóżku Rózi znaleziono jakieś papiery i ją zabrano do więzienia. —

Dodamy tu, że w tydzień po tem umarł nagle adjutant namiestnika książ Szkurin. Przyczyna jego śmierci była tajemniczą, niezbadaną, mówiono o apopleksyi. O losie Rózi ani ojciec ani Kazimierz nigdy się dowiedzieć nie mogli. W więzieniach nigdzie jęj imienia na spisach nie było — znikła bez wieści. —

Na największą boleść, współzucie ludzkie jest balsamem Samarytanina, jeśli on ranie leczy, przynajmniej koi cierpienie, a czas, ów mistrz lekarzy, powoli zaciera blizny.

Biedna matka Juliana podniesiona ręką litościwą kobiety, której syn także oddychał więziennem powietrzem, znalazła u nięj dach, litość i troskliwą opiekę nad sobą. Zapadła wprawdzie na zdrowiu, ale choroba ciała nie dała się wzmódz boleści duszy. Gdy po kilku dniach przesilenia podniosła się z łoża i przytomniejsza nieco zaczęła wypytywać o swoich, musiano jęj, wydzielając po trosze, całą nareszcie wypowiedzieć prawdę.

Dowiedziała się biedna że Julian osądzony był do rot aresztanckich na Syberją, że o męża losie nikt nie wiedział, a córka znikła bez śladu, porwana przez policyjskich posługaczy. Ciężkie to były ciosy, Preslerowa oplakawszy swe sieroctwo, dołą niezszczęśliwą córki, a nawet męża, choć na niego wina wszystkich tych wypadków spadała, przywiązała się tem mocniej do syna i postanowiła towarzyszyć mu na wygnanie.

Ta myśl, że z nim będzie, że mu ulży słowem i współzuciem doli bolesnej, że dźwignie jego kajdany — przywróciła jęj trochę zdrowia. Wiedziała już że za dni kilka Julian być ma wyprowadzony z innymi więźniami, potrzeba się więc było dźwignąć, trzeba było odzyskać siły, aby rozpocząć ten pochód żałobny, pędzonej nahajkami kozaków i szyderstwami rozpasanej tłuszczy.

W całym postępowaniu Moskwy z winnymi i niewinnymi, nie ma najmniejszego śladu, że przed dziewięcią wiekami naród ten chrztem był obmyty. Znamieniem jego zawsze jest jeszcze dzikość pogańska, jakiej już nigdzie nie znajdziesz na świecie. Nawet te ludy które jeszcze krzyża nie położyły na piersi, samem zetknięciem się z chrześcijaństwem złagodniały, — jedna Moskwa, choć niby chrześcijańska i choć na pozór pobożna, zachowała w całości stary obyczaj tatarski i zwierzęcą nielitościwość.

Począwszy od sądu aż do kary, wszystko w nięj przejęte jest barbarzyństwem, rzekłbyś że inaczej nasycić nie mogąc swego pragnienia krwi i mordy, rzuca się chciwie na wszelką pastwę podaną. Żadnej niech się nie spodziewa litości, kto się w szpony tych sędziów i oprawców dostanie; więzienie, badania, wykonywanie wyroku, wszystko jest pastwieniem się i okrucieństwem, obrachowaniem na to, aby ofiara cierpiała jak najwięcej, aby kat się jej męczarnią nasycił.

Ani płeć, ani wiek, ani słabość, ani cierpienie obronić nie mogą; siła tylko wzbudza w nich poszanowanie, słabość nielitościwe szyderstwo. Gdyby Chrystusa krzyżować mieli powtórnie, znaleźliby środek do jego pasji dodać jeszcze jakie nowe męczeństwo...

Cywilizowany generał audytoryatu i prosty żołdat, obchodzą się z więźniem jednakowo, sercem dzikiem są to bracia rodzeni. Wszystko co w opisach tych krwawych i smutnych dziejów wydaje się przesadzonym i nieprawdopodobnym tym co Rossją powierzchownie tylko znają — jest jeszcze błędem i niedostatecznym w obec rzeczywistości, na

którą nie ma wyrazów w języku ludzkim, bo nie ma pojęć w umyśle ludzi... Ryk zwierząt mógłby chyba wyrazić to zwierzęce okrucieństwo...

Rano przed świtem, bo Moskwa zwykła szukać ciemności i taić się ze swą sprawiedliwością — wywleczonych nagle z cytadeli winowajców przywieziono na punkt zborny na Pragę.

Dzień się wybrał pochmurny, słotny, szary i mimo lata zimny a wietrzny. Na piasku przemokłym od długiej słoty, stało kilkudziesięciu ludzi, po większej części młodzieży, w grubych szynelach soldackich, z postrzyżonymi głowami, przykutych do żelaznego drążka, i obstawionych silną do koła strażą.

Wyprawa ta, składała się z ludzi wszelkiego stanu i wieku, a Moskwa postarała się o to, aby między politycznymi skazanymi znajdował się prosty złodziej, umyślnie chcąc zbrodnię miłości ojczyzny z najpodlejszym przestępstwem porównać. Odbijała ta postać złowroga zbójcy i łupieżcy z wpadłymi w czaszkę oczyma żbika, od szlachetnych obliczów męczyńskich...

Obok zbója szedł przykuty ksiądz staruszek, który przyjmował przysięgę czeladzi rzemieślniczej, spokojny, łagodny, na przyszłe swe cierpienia patrzący pogodnym okiem kapłana co od dawna życie swe Bogu oddał w jego ręce i sam niem już nie rozporządzał. Ujęty do więzienia, nim go badać zaczęto, starzec zażądał krucyfiks, a dostawszy go poprzysiągł w obec przelekkiego służalstwa, że mu żadna męczarnia z ust słowa nie dobędzie... Skazano go za to zuchwalstwo, że się śmiał uciec pod skrzydło Boże, chroniąc od sprawiedliwości cara... Kapłan uśmiechał się, czuł że był na swem miejscu, bo niósł z sobą słowo rezygnacji, pociechy i nadziei.

Za nim szedł młody chłopak, blady i zmęczony długą niewolą, uśmiechnięty boleśnie — patrzył on na Warszawę i łza kręciła mu się pod zczerniałą od płaczu powieką... tam! tam, zostawiał starą matkę, kalekę ojca, i ją... tę którą ukochał, a której niewolno było nawet przyjąć go białą chustką zdaleka pożegnać. Wczoraj uściśnął raz ostatni rodziców, a jej... bojąc się wymienić imienia nawet — *bądź zdrowa*, cichego przesłać nie śmiał. I patrzył, patrzył ku niej, w tę stronę gdzie ona może płakała ukryta, i pytał co mu los przeznaczają... kiedyż czy nigdy? — *Na zawsze!* jak żelazny sztylet rozdzierało mu piersi... *na zawsze! na zawsze*, straszny wyraz, który mieści w sobie treść całą ludzkiego żywota.

Po nim podstarzały już mężczyzna, ojciec rodziny, włókł się z kaszlem w piersi oznajmującym że nie zajdzie daleko, ale z milczącą rezygnacją; za rzędem żołnierzy stała zapłakana jego żona, dwoje dzieci wyciągając do niego rączki drobne, niemowlę podnosiła do góry, aby i ono pożegnało ojca. — On patrzył na nich i myślał ile to mogli otworzyć się, aby tyle rozpaczy pochłonąć... nie miał już żadnej nadziei prócz śmierci... niedostatek, sieroctwo, nędza, upokorzenie, a potem grób i cisza... Nie miał ich siły żegnać, ale patrzył, patrzył, aby ten obraz wybił się i wypiętnował w sercu, i powtórzył z ostatnim jego uderzeniem jeszcze...

Za nim maleńkie chłopię, co jeszcze szkoły nie skończyło, nie zaczęło życia, już rozpoczynało nową szkołę nieszczęścia i pierwszy żywot boleści... Student podnosił czoło dumnie, z pociechą że obok starych, tak młodo już za ojczyznę mógł cierpieć, usta się jego uśmiechały, oko pałało, świślał jakąś piosenkę, a łza nieuznana jak kropla deszczu wysychała mu na gorejącym policzku... Rodzice byli daleko! o losie jego nie wiedzieli może... ale był szczęśliwy że oni posłyszają jak godnie nosił ich imię...

Po nim stał mężczyzna stary, tajemniczego oblicza, żółty, wychudły, z białymi pieszczonemi rękoma, z cęrami delikatną, z ustami zaciśniętymi; widocznie drugi raz już, może trzeci puszczający się w tę drogę daleką... Na czole jego pomarszczonem wisiła troska żalobna, ale powieki zapomniały łez, tych gości młodości... nie mógł już i nie umiał płakać — był stwardniały i nieczuły, żołnierz go bił usiłując ustawić do porządku, on nie czuł... W tłumie nikogo nie było coby go przyszedł pożegnać... wzięty był pod cudzem nazwiskiem i nikt o jego prawdziwym nie wiedział...

Po za szeregiem żołnierzy widać było twarze tłumu, rodziny, przyjaciół, żon i matek, które przyszły tu szukać synów i braci, ukraść pożegnanie wzbronione, bo moskiewska sprawiedliwość i z rodziną się rozstać nie dopuszcza... potrzeba czatować, zgadywać, pochwytać ostatnie skazanych wejście, trzeba święty, pocałunek ostatni okupywać u żoł-

daków bez litości, którzy rozpędzali nagromadzonych, wyśmiewając się z tego co świat ma najbardziej poszanowania godnem — z boleści. —

Każdy z tych przybyłych, oprócz łez przyniósł coś dla skazanych na długą i niewygodną podróż, coś coby im ją osłodzić mogło — nie wiedząc że dostarcza łupu dla strażników... Często o kilka set kroków za miastem już te podarki i ofiary rozdzielają między siebie żołnierze, lub wiodący partycją oficer zabiera niby dla schowania, — ale się o nie upomnieć potem niegodzi. —

Na bladych twarzach więźniów znać było wszystko co przetrzymali, głód, lichą strawę używaną za środek do osłabienia w nich ducha, bezsenność, trwogę, różgi, i wymyślone katusze, naostatek samotność przerywaną łajaniem i groźbami... oczy zgasłe, skóra zwiędła, spieczona usta mówiły więcej niżby powiedziały słowa.

Jakkolwiek ciężki ich los czekał, jakkolwiek skute mieli ręce, nad sobą nahaj kozacki a obok kolbę karabina — samo oddychanie świeżem powietrzem, widok nieba i szerszych przestrzeni, ruch nieco swobodniejszy, zbliżenie do ludzi jednego losu i przekonań, już tę podróż kalwaryjską czyniły prawie osłodą.

Ale któż opuszcza swój kraj i przyjmuje to sieroctwo na barki bez uczucia strasznego pustkowie, w które wchodzi?

Nawet stary braciszek zakonnik, co się już był zaparł świata, poglądał czy nie zobaczy tych murów klasztornych, w których niegdyś tak błogo i cicho spływały mu lata — cóż dopiero inni, co za sobą pozostawili rodziny, węzłów tysiące i tyle nici serdecznych zerwanych tak gwałtownie?

Od téj sztaby żelaznej oczy biednych skazanych odwracały się szukając w tłumie znajomych twarzy, a gdy ich nie znalazły, połyły się goryczą przypuszczeń, przeczuć, obawy... Nie jeden pomyślał że o nim już zapomniano, drugiemu śmierć i choroba snuły się po głowie. Ci co ujrzeli znajome twarze szarpali swój łańcuch aby się raz jeszcze ku nim przybliżyć, choć posłyszeć głos ukochany, aby jego dźwięk został w uszach i sercu, i brzmiał w téj długiej ciszy grobowej, przypomnieniem dni jaśniejszych. —

Z za szeregów głośnie płacze i rzucane pospiesznie słowa leciały ku uszom więźniów spragnionych... dowiadywali się z nich o wielu wypadkach, których cisza cytadeli odgłosu do nich nie dopuściła...

— A brat?

— Uwięziony...

— A mąż twój?

— Zesłany...

— A ojciec wasz...

— Zabity...

— A ona?

— Siedzi zamknięta...

— A przyjaciel nasz...

— Umarł i pochować go nie było wolno we dnie, poprowadziliśmy go nocą na Powązki...

Przy księdzu i starcu stał Julian, blady, wymęczony, zmieniony nie do poznania, ale z wyrazem męstwa na twarzy, którem wszystko zwyciężył. Widać było że wśród cierpień nie ugiął się i nie poddał, że szedł odważnie naprzeciw swojego losu, czując się apostołem świętej prawdy, wiedząc że gdyby usta jego słowa za nią wyrzec nie mogły, samym sobą świadczyć będzie o prawdzie téj, za której wyznawanie był skazany.

Nie spodziewał się on nikogo tu znaleźć i z nikim pożegnać — ale matka jego od trzech dni stała tu codzien na czatach, pilnując syna, czekając na niego.

Postrzegł ją Julian i uśmiechnął się ażeby jęj dodać męstwa, sądził że przyszła tylko ze słowem błogosławieństwa na drogę, i zdziwił zobaczywszy węzełek na jej plecach, a kij w rękach. Na twarzy zwiędłej, mimo przebytej choroby, malowało się chłodne postanowienie, które w sobie czerpie siły do wykonania zadań nawet najcięższych.

Ta myśl, iż matka towarzyszyć mu miała, więcej sprawiła niepokoju niż pociechy, wolałby był sam cierpieć, niż być przyczyną ciężkich boleści dla niéj, dla matki... Ale ona spostrzegłszy go także, uradowana skinęła na niego tylko i stała spokojna nie usiłując się nawet przybliżyć, gdy inni szlochali rękami przedzierając się przez żołnierzy, aby raz jeszcze

dłoń ukochaną uściskać — ona czekała opodal, cierpliwa, rachując na długą podróż, która ją z synem połączyć miała.

W pospiesznych pożegnaniach rozdzierających serca, upłynęła błyskawicą chwila ostatnia i wkrótce dał się słyszeć rozkaz do wymarszu, rzucony tym suchym głosem żołdackim, który jednakowo wymawia wyrok potępienia i oswobodzenia... Żołnierze ruszyli się, brzęk broni, płacze i krzyki rozległy, łańcuchy zabrzęczały i sznur skutych wygnańców ruszył w daleki świat obcy, nie jeden do otwartej mogiły na stepie, zimnym posypanej śniegiem.

Oficer zapalił cygaro, a żołdactwo naciskających się rozpędzało swem — *paszli won!* odpychając kolbami... Ksiądz zanucił:

„Pod Twoją obronę”...

ale kozak przypadłszy, sądząc że to śpiew jakiś zakazany, uderzył go po siwej głowie nahajką i pieśń cichym się skończyła pacierzem, tylko sina pręga na licu kapłana poświadczyla, że o Bogu w chwili rozstania z ojczyzną pomyślał.

Odwolywanie się do Boga, i skarżyc na cara — jest to zbrodnia niedarowana... Bóg wedle moskalów jest tylko posłusznym wykonawcą woli monarszej, inaczej poszedłby dawno w soldaty. —

Za szeregiem żołnierzy, podpierając się na kij, powlokła się jedna kobieta...

Była to matka Juljana.

Nie na tem jednak koniec tego czarnego dramatu, nad którym świeci promyk macierzyńskiej miłości.

W chwili gdy się to działo na Pradze, zdala, nie śmiejąc się zbliżyć, oparty o ścianę, stał człowiek stary w sukniach oszarpanych, z żółtą i pomarszczoną twarzą, na której nęcza wypiekła swe straszliwe znamię. Przechodzący mijali go z politowaniem, czytając z lica widoczne obłąkanie...

Dopóki więźniowie stali, wzrok jego ostrożnie zdawał się między nimi szukać kogoś, ale ile razy padł na Juljana, ukrywał się przerażony...

Znajomym nawet, nawet żonie i synowi trudno było poznać w nim Preslera, na tak straszego żebraka, włóczęgę zmieniły go te dni pokuty. Twarz była ruiną, którą poorały lzy i krzywiło jakieś konwulsyjne drganie przybierające zarazem to płaczu wyraz, to dzikiego uśmiechu. Musiał się oprzeć o ścianę, bo na nogach ustać nie mógł, a ręce mu opadały bezwładnie. — Z ust zaciętych widać było sączącą się pianę, jakby w ostatnich wysiłkach konania.

Stał jak nieruchomy dopóki pochód nie wyszedł, aż gdy brzęk kajdan oznajmił, a więźniowie rozpoczęli tę podróż, z której żaden może nie miał powrócić, stary obłąkanym wzrokiem rzucił na tę kupkę potępieńców, i jakby na przekór płaczom i jękom, które w tej chwili słyszeć się dały, począł się śmiać dziko. Śmiech ten był tak przerażający, że kupka ciekawych dzieci, które się z za węgla domu przypatrywały tej scenie, pierzchła wylękniona... Obłąkany obejrzał się, rozśmiał jeszcze i zadarłszy głowę do góry, podparłszy się w boki, poszedł poważnym ale chwiejnym krokiem do najbliższego szynku naprzeciw.

Że to był dzień targowy, a ludzie przybywali z okolicy na Pragę i każdy z nich w słotny ranek chciał się czemś pokrzepić, gdy Presler wszedł znalazł szynkarkę zajętą. Oburzyło go to mocno, że mu zaraz nie usłużono.

— Hej! słuchaj, zawołał, ty jakaś, nie widzisz kto przyszedł? dawaj mi tu wódkę, a żywo.

I rozsiadł się za stołem.

Żydówka nie spieszyła go słuchać, bo widząc odartą odzież niepewną była zapłaty.

— A! ty córko Judasza, plemie Herodowe, zawołał powtórnie Presler z gniewem wzrastającym coraz, wódki mówię co prędzej, garniec wódki! a nie, to ci łeb rozkwaczę...

Oburzyli się na ten krzyk i łajanie przytomni, chciano wezwać policyanta, aby warjata uprzątnął, gdy Presler poszukał w kieszeniach i dobył papieraek trzyrublowy, którego widok ułagodził szynkarę, a innych powstrzymał od stawania w ich obronie.

Z chciwością niewypowiedzianą porwał stary za flaszę, i począł z niej pić, jakby żłopał wodę spragniony. Straszno było patrzeć na to samobójstwo, oczy wszystkich zwróciły się na nieszczęśliwego człowieka, który dopiwszy do dna flaszkę, gruchnął szkłem o ziemię a sam bełkocząc jakieś przekleństwa, powalił się na ławę.

Chwilę jednak tylko trwała nieprzytomność, powstał natychmiast i z uśmiechem skierował się ku drzwiom; wszyscy się rozstąpili przed nim, on szedł z głową spuszczoną, z oczyma wlepionymi w ziemię, szepcąc sam do siebie.

— No, teraz dobrze! lada dzień zrobią mnie pułkownikiem, a gdy im wydam nieboszczyka ojca, zostanę generałem. Co mi to szkodzi? kto mówi że jestem zdrajca? he? każę go zaraz rozstrzelać! Nikt inaczej nie dorabia się pieniędzy i rangi. Sprzedałem syna, przepiłem córkę, żonę diabli wzięli, i...

Ostatnie słowa wyśpiewał głosem ochryplym, wziął się w boki, zakręcił na jednej nodze, począł niby tańcować, ale się ślaniał i padał.

— Co mi tam! wołał, wszystko głupstwo, a wódka grunt! a co ludzie pokomponowali tę niby cnotę, te różne delikatne bałamuctwa, żeby głupców trzymać na sznurku... niewarto szklanki wody! — Tfu! furda!

Po chwili zaś, dodał:

— Gdzie ekwipaż pana generała Preslera? gdzie jego ludzie? he? Każę woźnicy dać sto łóz jak go odszukam, albo go wyślę na Sybir! znaj trutniu jakiś Preslera... Sybir...

Powtórzywszy ten wyraz, obejrzał się i wstrząsnął.

— Kto tu śmie gadać o Sybirze? Kto mi tu wspomniał Sybir? W Syberii złoto kopią i w sobolach chodzą, cieplej jest tam jak w tych głupich Włoszech... Nieprawda! kłamstwo co gadali o Sybirze przez nienawiść dla N. Pana i pocziwych moskali...

Mówiąc to coraz ciszej, głosem przerywanym czkawką, stanął u brzegu Wisły, i począł się w płynącą wodę wpatrywać, czoło mu się zachmurzyło, a choć usta krzywiły się uśmiechem, oczy płakały. Siadł czując się znużonym na szychcie drzewa.

— Co teraz robić? mruczał do siebie... mógłbym to ja żyć i porządnie żyć, ha! ale może nie warto, jakoś mi się nawet nie chce! Żony nie ma, mógłbym się jeszcze ożenić z jaką moskiewicą tłustą i bogatą, ale nuż drugi taki diabeł będzie jak pierwsza? Nie, to głupi interes... żyło się, żyło, szarpało... a całe życie... tfu! psu na buty!

Popatrzał znowu na wodę.

— Pali mnie pragnienie, wypiłbym Wisłę, rzekł, ale te łotry zaraz mi proces wytoczą, patryoci, że im ich rzekę skonfiskowałem w żołądku... nie można... gotowi powiesić za to...

Uśmiechnął się znowu.

— He, Adasiu kochanie, rzekł, imię swe przypominając sobie — gdybyśmy my się utopili?

W téj chwili fenomenem właściwym wielu obłąkanym, Presler poczuł jakby się rozdwoił, Adaś oddzielił się od niego i czynił mu wyrzuty. — Presler się gniewał i bronił. Obaj przeciwnicy zamknięci w jednej powłoce rozpoczęli bój zażarty, — porucznik mówił za jednego i drugiego, klócił się z sobą i łajał.

Nareszcie zmaćniło się w głowie, Adaś ośmielił mu się zarzucać że zdradził Juljana, i jak Bóg w Biblii pytał go:

— Coś uczynił z synem twoim? gdzie syn twój?

Presler ruszał ramionami, odpowiadając że nie wie, ale powtarzające się zapytanie zburzyło go wreszcie i porwał się sam na siebie, szarpiąc odzież, drapiąc i raniąc sobie piersi...

Szamocąc się tak w największej złości, postanowił rzucić do Wisły uprzykrzonego Adama, i padł w nią z nim razem...

Woda w tem miejscu była głęboka, wir go pochwycił, pochłonęły fale; dziki tylko śmiech szyerski, ostatnie tętno życia, rozlecił się długo po nad brzegiem.

Warszawa 1863

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/szpieg/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, Szpieg: Obrazek współczesny narysowany z natury przez B. Bolesławitę, Księgarnia Jana Konstantego Żupańskiego, Poznań 1864.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0467-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.